

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ

MARJA ŚWIDERSKA



Z KRWAWYCH DNI

KRAKÓW 1929

NAKŁADEM TOW. SZKOŁY LUDOWEJ W KRAKOWIE
UL. ŚW. ANNY 5.

Z KRWAWYCH DNI

(OPOWIADANIE Z WIEKU XVIII)

MARJA ŚWIDERSKA
P I S M A
TOM V.

WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ

MARJA ŚWIDERSKA

Z KRWAWYCH DNI

(OPOWIADANIE Z WIEKU XVIII)



NAKŁAD TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ
KRAKÓW, UL. ŚW. ANNY 5.

Drukarnia Przemysłowa
Kraków, ulica Zielona 7.
:: Telefon Nr 510. ::

71671/5

02



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0134995

K-168/36 | 71671

CZEŚĆ PIERWSZA.

I.

Napad. — Pieczara. — Gołębek.

Więcej, o! więcej już niżeli sto lat temu, w szerokiej jak morze, zielonej Ukrainie płynęły krwi potoki i krwawe łuny na niebie płonęły; ale teraz już nie dzikie Tatarstwo wyprawiało harce po stepach, już nie pohaniec brodził we krwi chrześcijańskiej, ale dzieci własne targały ciało matki swej!

Było to na wiosnę. Step zazieleniał, jak zwykle, jakby się nie spodziewał, że go stratuja kopyta końskie i zaczernia zgłiszczą pożarów. Wioska Koralówka, nad silnym potokiem, zakwitła wiśniowemi sady i ustroiła się jak panna młoda do ślubu, ale nocą wpadli rozbójnicy, rozbili częstokół i bramę wysoką, dwór zrabowali i zapalili, aż wieniec ognisty zapłonął nad białem kwieciami, a czarny słup dymu gdzieś wysoko, do nieba na skargę popłynął. We dworze pana nie było, poszedł w świat, potem i słuchy o nim zaginęły, a pani sama i dziątek dwoje zostało we wsi. Pani ciężko zaniemo-

gła, już z łoża podnieść się nie zdoła, wciąż tylko modli się a płacze, żeby Bóg dzieciny jej uchronił od złego wszelkiego. W nocy, kiedy ziemia zadrżała od kopyt końskich i luna w okna uderzyła, biedna matka woła wiernej Motruny i ręce przed nią składa, jak do modlitwy i zaklina na wszystkie świętości, żeby dzieci uratowała.

— Mnie zostaw, Motruno... Już i tak ledwie iskrą życia we mnie tli, tuż, tuż, zagaśnie i po wszystkim będzie, ale dzieci moje ratuj, ukryj, gdzie chcesz; Bóg ci dopomoże...a spiesz się... już słysząc krzyki, rabusie już blisko, chwila, a wywalą bramę... Ja się nie boję, dzieci ratuj, na Boga!...

I wtyka piastunce pocziwej węzełek jakiś i krzyż złoty, co nad łóżkiem wisiał i słabemi rękami odpycha ją od siebie, żeby prędko biegła do dzieci.

— Co tu robić? — Motruna łzami zalana, nieprzytomna prawie ze strachu, wybiega do komnatki, gdzie śpi dzieci dwoje. One nie widzą łuny pożarnej od zapalonych gumien i stodół, nie słyszą dzikich krzyków i łomotania w bramę; dopiero gdy Motruna z płaczem wpada do komnaty, budzi się chłopaczek i oczy przeciera i rozgląda się wkoło.

— Czy to już dzień? czy mateczka zasłabła? — pyta zdumiony — ale piastunka narzuca nań kożuszek i każe bardzo, bardzo się spieszyć, bo rozbójnicy idą, już bramę wywalają.

Hańdzia szybko z łóżeczka wyskoczyła i patrzy wystraszonemi oczkami na Motrunę i daje sobie chustką obwiązać głowę, a nie wie, czy to sen, czy prawda.

Chwila jeszcze, a Motruna oboje dzieci wyprowadziła cichutko do sadu i wróciła szepnąc staremu Hryhorowi, żeby siedł do pani, bo tu już obrona żadna nie pomoże. Niebożatko, i z łoża ruszyć się nie zdoła! Potem skoczyła do dzieci i wszystko troje biegną przez sad i przez płot, daleko, do jaru, co się nad potokiem czerni. Świeży wiatru powiew i chłód nocny ocuciły do reszty dzieci biedne, ale nie mogą jeszcze pojąć, co się z nimi dzieje, choć słyszą za sobą zdala krzyki pijanej tłuszczy, choć za nimi błyszczy luna krwawa a iskry lecą z wiatrem wysoko. Wreszcie Bohdanek, starszy, przystanął, opierając się ciągnącej go z całych sił Motrunie i pyta:

— Motruno! gdzie mateńka nasza? Ja nie pójdę dalej!

— Cicho, cicho, dziecino! — odpowiada staruszka — mateńka nam iść kazała tylko rozważnie i cicho, bo nas rozbójnicy złapią.

I dalej biegną, aż dopadli jaru ciemnego. Miesiąca nie było tej nocy straszliwej, gwiazdki tylko łyskają na niebie oczkami złotemi i Boh szumi po kamieniach. Teraz wąską ścieżyną idą coraz niżej między skały, a Motruna mocno dzieciny tuli do siebie i stąpa ostrożnie, żeby się nie pośliznąć i nie stoczyć na dół do rzeki. Między czarnemi skałami zaczerniało coś więcej jeszcze, a Motruna stanęła zdyszana, zmęczona i szepnęła tylko:

— Dzięki Bogu, otóż Skalnica.

Teraz przyklekła i ostrożnie, na rękach zaczęła się wsuwać do czarnej jamy, przykazawszy dziecinom, że-

by się nie ruszyły ani kroku z miejsca. Po chwili, z jamy pokazała się głowa Motruny, i staruszka każe Hańdzi zgiąć się i wpełznąć za sobą.

— Ja nie pójdę tam, Motruno, ja się boję — woła z płaczem wystraszone dziewczátko, ale Bohdanek wziął siostrę za rączkę i tuli ją i uspokaja.

— Słyszysz, Hańdziu, mateńka iść nam kazała z Motruną i uciekać, bo za nami rozbójniki.

— Mateńka... rozbójniki... — powtórzyło dziewczátko już przerażone i schyliło się ku ziemi, a Motruna ciągnie je ku sobie i całuje i pieści.

Za chwilę wróciła po Bohdanka, i wszystko troje stanęli gdzieś w ciemnej jamie pod ziemią, gdzie już wyprostować się mogli, ale nic nie widzieli wokoło siebie. Hańdzia tuliła się do braciszka, drżąc jak listek, a Bohdanek, choć sam wystraszony, przyciskał ją do siebie i powtarzał:

— Nie bój się, Hańdziu, mameczka kazała!...

Teraz Motruna dobyte z za koszuli krzesiwo i o kamień ognia skrzesała, aż błysnęło w ciemnej jaskini, i w kącie pod ścianą kamienną ukazała się kupa mchu, czy suchych liści, przez kogoś tu dawniej nanieśionych. Bała się staruszka, czy jaka gadzina złośliwa, wąż lub żmija nie zakradły się do miękkiego gniazda tego; zbliżywszy się więc po omacku, skrzesała ognia znowu i zapaliła kilka listków od hubki (gąbka z drzew zbierana), którą do krzesiwa przyłożyła, a ręką tymczasem przetrząsała całe posłanie. Ale nic się nie poruszyło w jaskini, i Motruna rzekła do dzieci:

— Pokłękajcie dziecińcy moje i pomódlcie się do

Boga, żeby nas ratował, a sama zegnała się trzy razy i ukłękawszy biła czołem o ziemię i szeptała:

— Boże, zmiłuj się nad nami!

Potem ułożyła dzieci na posłaniu z mchu i liści otuliła je jak mogła i głośno pacierz odmawiać zaczęła. Myślała pewno, że dzieci pomęczone usną, ale nie łatwo to było i ledwie przestała się modlić, kiedy Bohdanek odezwał się znów do niej:

— Motruniu nasza, powiedz, gdzie mateńka, już nic nie będę mówił, tylko to powiedz, moja nianiu złota!

Hańdzia cichutko płakała.

— Nie bójcie się, dziecińcy, gołąbki moje: jutro pójdziemy do mateńki, tylko śpijcie teraz cichutko.

Zamilkł chłopczyny, i cicho zrobiło się w pieczarze, aż wreszcie Hańdzia usnęła i słychać było jej równy oddech, ale Bohdanek spać nie mógł. Siostrzyczka śpiąc, trzymała go mocno za rękę, że mu się ruszyć trudno było; obrócił się więc do Motruny i cicho, ale wyraźnie mówić zaczął:

— Motruno! Hańdzia śpi, powiedz mi teraz, gdzie mama? Tam we dworze rozbójniki wszystko spalili, gdzieście mamę podzieli? Ja chcę pójść do niej!

Wzdrygnęła się staruszka, bo jej się serce rwało na sztuki, kiedy pomyślała o biednej pani swojej, która sama została, ale dzieciom tego powiedzieć nie mogła; Bohdanek wyrwałby się i popędził choćby w ogień do matki kochanej. Starowała się więc jak mogła uspokajać chłopczynę i wmawiała, że mateńka u księdza na wsi, bo tam lepiej dla niej, a jutro ją znajdą i pro-

siła, żeby Hańdzi nie budził, bo dziewczynka jeszcze zachoruje.

A tu ze dworu słyhać było szum straszny, i grzmoty pierwsze tego roku hurkotały po niebie, aż się ziemia wstrząsnęła. Motruna zegnała się raz poraz, ale ruszyć się nie śmiała z miejsca, żeby dzieci nie porzucać. Hańdzia znów płakać zaczęła, a teraz Bohdanek tulił ją, koił jak umiał, wreszcie zaczął mówić głośno: „Kto się w opiekę“ tak jak codziennie z matką to odprawiali przed obrazem Matki Najświętszej. I bezpiecznie im wszystkim jakoś zrobiło, bo przypomnieli sobie, że nad nimi jest Pan, którego „stateczność, tarcz i puklerz mocny, za którym stojąc, na żaden strach nocny, ani dbaj na strzały“ i t. d. Tak przesiedzieli może godzin parę, aż wreszcie biała smuga światła, wśliznęła się przez szczeliny kamieni, bo już dzień zaczynało. Bohdanek znużony osunął się na posłanie ze mchu i zdrzemnął się wreszcie, Hańdzia także wśród płaczu usnęła, ale Motrunę straszny dręczył niepokój i postanowiła wreszcie wyrzeć na świat Boży, dowiedzieć się czegoś o pani swojej biednej. Zaledwie się jednak poruszyła, aż i Bohdanek podniósł głowę. Właśnie słońce wschodziło a różowy promyczek wcisnął się i tu pomiędzy skały, żeby rozjaśnić ciemne schronienie biednych sierot.

— Czekajcie tu, dziecińy moje — powiedziała Motruna — ja wyrzę w świat, może już źli ludzie odeszli. Dowiem się o mateczce i wrócę; a ty, mój drogi gołąbku, nie odstępуй Hańdzi i nie bój się sam zostać.

— Ja się nie boję — odparł chłopczyńa, bo od ma-

leńkiego już był czupurny, jak mówiono, a ojciec sam go uczył szabelką wywijać i dosiadać konia zawczasu — nie boję się, ale chciałbym pójść do mamy. Gdybym miał szablę, tobym i rozbójników się nie uląkł.

— Ale gdzie tam? — odrzekła piastunka — i szabelki niema, i Hańdzi przecie samej zostawić nie można, ani was zabierać obojga. Ja stara łatwiej się przesliznę i przyniosę wam wiadomość, a może co do jedzenia, żebyśmy tu z głodu nie pomarli.

Udało się jej wreszcie przekonać chłopczyńę i nachyliwszy się, ostrożnie wysunęła się z pieczary, Skalnicą zwanej. Słońce wyłytywało na błękitnawe niebo, pędząc przed sobą złociste obłoczki, mgła unosiła się nad ziemią a potok toczył z szumem fale zmaczone od deszczu nocnego. Wkrótce Motruna, spinając się po skałach, wyszła na górę i wystraszona spojrzała; wokoło cicho było, jakby wszystko wymarło, w wiosce nikt się nie ruszał, nawet bydełko pewno pogнали rabusie; z ludzi, kto nie zginął lub z hajdamakami nie poszedł, to się ukrył pewno gdzieś głęboko. Za sadem wiśniowym sterczy czarny, spalony komin dworski, tam biegła Motruna, a serce jej się ścisnęło, jakby krwawą obręczą opasane i nogi drżały, ale biegła coraz prędzej, aż dopadła podwórka.

Ściany dworku trzymały się jeszcze i nawet dach został z jednej strony, bo deszcz ulewny musiał zagaścić pożar, nim ogień wszystko zdołał pochłonać, ale drzwi porabane, rozrzucone i ówdzie szmaty wskazywały, że rabusie musieli tu gospodarować po swojemu. Motrunie dech w piersi zaparło, zwolna po kamiennym

wschodku weszła do sieni: tam na progu leżał z rozrąbaną głową trup starego Hryhora, co miał pilnować; zimny już był zupełnie. Motruna jęknęła, przeżegnała się i szła dalej: na lewo były wywalone także drzwi do wielkiej komnaty, gdzie pan dawniej mieszkał. Tu były połamane sprzęty, rozbita skrzynia, a na podłodze struga wody od deszczu, co się lał przez wybite okna i przepaloną powałę. Drzwi napół uchylone prowadziły do alkierza, gdzie sypiała pani i tam, cała drżąca, zbliżyła się Motruna ze złożonymi rękoma, powtarzając zcicha „Boże, zmiłuj się“.

Cicho było jak w grobie, tylko drzwi skrzypnęły, gdy je drżącą ręką pchnęła i... przed nią, wprost drzwi na łożu leżała w białej pościeli, pani, tak prawie, jak ją zostawiła Motruna. W rękach ściśniętych trzymała krzyżyk biały, a na twarz padał promień słońca złocisty, ale twarz ta blada była, jak ów krzyżyk z kości słoniowej i oczy zamknięte. Na obliczu tem jednak nie było znać żadnego przestachu, ani skrzywienia; biedna matka musiała skończyć życie, nim jeszcze rozbójnicy wpadli do dworku. Umarła cicho, błogosławiąc zdaleka dzieci, które uprowadziła Motruna przed rabusiami, i zmęczona ostatniem wysileniem, wyzionęła ducha, modląc się za nie. Motruna uklękła przy łożu i całowała nogi ukochanej pani i płakała głośno, ale nikt tego nie słyszał. „Gołąbko ty moja“ powtarzała stara piastunka i wierzyć nie mogła, że te blade usta nigdy się już nie otworzą, nigdy nie powiedzą jak dawniej: „Pilnuj dzieci moje, Motruno!...“ Wtem Motruna sobie przypomniała te biedne sierotki, co siedzą w piecza-

rze ciemnej, i zerwała się z ziemi, żeby do nich wracać. Rozbójnicy zrabowali dwór i podpálili, ale tu nic ruszyć nie śmieli; musieli uciec przestraszeni na widok tej śmierci niespodzianej. Stołek leżał przewrócony u drzwi, zresztą wszystko na swoim miejscu; ale rabusie mogli powrócić, mogli inni nadejść, więc Motruna dzieci tu przyprowadzić nie mogła. Zrobiła naprędce węzełek z odzienia rozmaitego, znalazła nawet chleba świeżego bochenek, którym wczoraj przyszła się była pani pochwalić i zostawiła go tutaj; teraz nim pożywi biedne sieroty. Wetknęła w zanadrze flaszkę wina starego, co stało przy łóżku pani, dla pokrzepienia jej cząsem, zabrała też świecę woskową, ledwie nadpaloną, i cicho płacząc, wysunęła się z alkierza. Spróbowała zajrzeć do innych izdebek, ale wszystko było porabane, popalone, tylko ten jeden zakątek ocalał jakby cudem, na grób dla biednej matki.

Idąc do pieczary, myślała Motruna po drodze, co powie dzieciom nieszczęśliwym, jak je uspokoi i gdzie się z niemi podzieje. Nie spotkała też ani żywego ducha i niezadługo po wąskiej ścieżynie, dostała się do pieczary Skalnicy. Bohdanek stał na środku jaskini i przyzwyczajony już do ciemności, wielkimi oczyma wpatrywał się w twarz Motruny, usiłując odgadnąć, z czem przychodziła. Hańdzia siedziała skulona w kątku.

— I cóż, nianiu? Chwała Bogu, wracacie! Cóż mateńka nasza?... mówcie prędko! — wołał chłopczyk.

— Czy nic złego mateńce nie zrobili? — pytała

Hańdzia, podnosząc główkę, jak małe nastraszone ptasze.

— Nic złego nie zrobili matence — powtórzyła Motruna i prawdę mówiła, bo już niebodze nikt na świecie nic złego zrobić nie mógł.

— To chodźmyż prędko do mamy — wołały dzieci, zapominając o strachu i głodzie, na myśl, że matczkę swoją zobaczyć mogą.

— Broń Boże — odrzekła Motruna — nie wychodźcie stąd, bo matenka nie pozwoliła za nic. Ot, macie dziecińcy od niej chleba i wina trochę i przydziełek, bo wam tu przecie chłodno i głodno, ale wychodzić nie można z pieczary. Chyba może trochę pójdziemy na słońcu się pogrzać — tu między skałami.

I wysunęli się wszystko troje: Bohdanek stał i patrzył, jakby chciał okiem przebić te głazy i zajrzeć daleko do dworku rodzinnego, ale nic nie mówił. Hańdzię wzięła Motruna na kolana, i ciemne włoski jej rozczesywała i tuliła do piersi sierotkę.

— Nianiu! — szepnęła dziewczynka — czy nie widziałś rozbójników?

— Nie, hołubko, już ich niema.

— A czemuż my do domu nie wracamy, kiedy ich niema?

— Bo i domu już niema, dziecino, rozbójnicy spalili.

— A gdzież matenkę podzieli, nianiu moja?

Nie wiedziała biedna piastunka, co odpowiadać, żeby dzieciom strasznej prawdy nie odkryć zaraz; za-

częła mówić, że mamę odwieźli do miasteczka, bo tam bezpieczniej.

— Czemuż my tam pójść nie możemy? — pytał znów Bohdan.

— Bo się rozbójnicy kręcą wszędzie po drogach — odpowiedziała Motruna.

Tymczasem słońce coraz się wyżej wznosiło, a zdaleka z wiatrem dolatywały jakby jakieś krzyki czy jęki, aż straszno było słuchać; to też nie ruszali się z miejsca. Wreszcie ku wieczorowi Motruna namówiła, żeby znów się skryć do pieczary, a ona pójdzie jeszcze raz dowiedzieć się do wioski.

Biegła teraz prędzej jeszcze, bo jej pilno było dostać się do ciała ukochanej pani, które koniecznie pogrzebać chciała. Wrzawę jakąś zdaleka ciągle słysząc było, ale w Koralówce nic się nie działo. Przed podwórkiem zatrzymała się Motruna, bo coś jakby jęczenie nagle usłyszała, więc się bała iść dalej; skulona pod drzewem, słuchała wystraszona, co to być może, aż nareszcie zerwała się znowu; poznała już teraz, że to się odbywa Hawryłko, chłopak niemowa, którego z litości we dworze trzymano. Pewno się gdzieś ukrył przed rozbójnikami, a teraz wylazł z jamy. I tak też było istotnie: chłopak siedział na ziemi i w alkierzu, patrzył na zmarłą panią i płakał głośno. Na widok Motruny, zerwał się, jak nieprzytomny i chciał uciekać, ale go zatrzymała i pogłaskawszy po głowie, zaczęła mówić do niego łagodnie. Hawryłko słyszał, co do niego mówiono, lecz sam tylko na migi odpowiadał; ale kto go znał, mógł zrozumieć doskonale. I teraz choć błądy i obłąkanemi

II.

Maskarada. — Spotkanie. — Przytułek. — Dalej w drogę.

Dzieci niespokojnie czekały i znów powitały piastunkę pytaniem o mamę.

— Dziś nie mogłam jej widzieć — odrzekła staruszka — oto znalazłam kilka ziemniaków, które upieczemy przy ogniu, a to dla ciebie, kochanko, dodała, wkładając Hańdzi w rączki małego gołąbka. Dziecina, głodna i zmęczona, ucieszyła się jednak ptaszkiem, zaczęła go całować, a tymczasem Motruna skrzesła znów ognia i podpaliwszy suchymi liśćmi, wrzuciła nań kilka gałęzi, które także z sobą przyniosła. Dym z początku wił się nisko, ale powoli zawlókł się do jakiejś szczeliny, przez którą zaczął na zewnątrz uchodzić. W pieczarze jaśniej się zrobiło. A Hańdzia zaczęła oglądać gołąbka i narzekać, że skałeczony pod skrzydełkiem, i tak się nim zajęła, iż zapomniła o głodzie i zmartwieniu.

Tymczasem upiekły się ziemniaki w popiele, a chociaż bez soli, smakowały bardzo zgłodniałej dziatwie z resztą wczorajszego chleba, którego Motruna jeszcze kawał na później schować musiała. Wody zaczerpali

sobie z rzeki w drewniany kubek, który także ze wsi przyniosła staruszka, zaprawili ją winem, i po tem śniadaniu raźniej im się jakoś zrobiło i weselej. Dla gołąbka nawet wyłuskali trochę kukurydzy nawpół upieczonej, która się znalazła w gruzach. Teraz Motruna zapaliła woskową świeczkę bo ogień już zagaśł, i rozwinęła to, co z sobą przyniosła.

— Niema co robić — mówiła — trzeba nam uciekać! Chwała Bogu! znalazłam odzienia trochę między zgłiszczami wioski; trzeba was oboje przebrać za proste chłopięta, tak się prędzej przesuniemy pomiędzy grabieżcami, którzy się wszędzie snują.

Bohdanowi nie chciało się zrzucać granatowej bekieszki, więc mu ją na drugą stronę obróciła staruszka, a na to wciągnęła sukmanę i jakąś czapkę barankową włożyła na jasne jak len włosy chłopczyzny.

— Trzeba cię węglem osmolić — rzekła staruszka — boby od razu poznali, że to nie proste pachole, a Hańdzia moja, to niby mleko bieluchne! Trzeba cię, gołąbko, sadzą osmarować i te śliczne kosy obciąć ze szczętem.

I piastunka, płacząc nad pieśczętką swoją, zaczęła ostrożnie piłować warkocze dziewczynki nożykiem, który się znalazł w kieszeni Bohdana. Dziwny to był obrazek przy bladym świetle migającej świeczki, która nie zdołała rozjaśnić wielkiej, ciemnej pieczary, nawet z pomocą dziennego promyka, co się znów wkradał przez otwór jaskini. Wkrótce jednak przebranie było skończone, i Motruna zmówiwszy na klęczkach pacierz, z dziećmi razem wysunęła się z pieczary, a za nią dwoje

pacholał w siermięgach, czerwoną krajką podpasanych. Bohdanowi jasne jak len włosy wymykały się z pod barankowej, zadużej dla niego czapki; Hańdzi zaś, przewzanej teraz Andrzejkiem, ledwie widać było duże, szafirowe oczy z pod szerokiego, słomianego kapelusza. Najgorzej było z obuwiem, bo Motruna nie mogła się zdecydować na puszczenie dziewczynki boso, a zresztą drobne białe nóżki jeszcze łatwiej zwrócić mogły uwagę rabusiów, niż trzewiczki, o których w ostateczności, możnaby powiedzieć, że je znaleziono. Motruna знаła okolicę, ale tu nie tyle szło o drogę najkrótszą, ile o wymijanie napastników, co się gromadami snuli wszędzie. A w stepie szerokim skryć się niełatwo: jak okiem zajrzeć, nigdzie lasu ani góry, czasem tylko kurhan usypany na mogiłę tym, co tu dawniej poległ. Od wsi do wsi daleko, gdzieniegdzie bieleje futor z pasieką i sadem wiśniowym, ale teraz i o to trudno, bo rozbójnicy nie oszczędzili w krwawych zagonach swoich. Za Koralówką rozciągał się kawał stepu, przez który Motruna z dziećmi przejść musiała, kierując się ku południowi, żeby się dostać do wioski, gdzie miała kumów. Bóg wie, czy i ta wioszczyna z dymem nie poszła, ale próbować nie zaszkodzi.

Motruna postępowała ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony; Bohdanek i Hańdzia, a raczej Boryś i Andrzejko, jak się teraz nazwali, szli przed nią, trzymając się za ręce. Słońce przyświecało, a muszki rozmaite i pszczoły, co to miód biały a wonny składają, brzęczały w powietrzu; zdaleka widać było łąn pszenicy ogromny, jak okiem zajrzeć, falujący się od wia-

tru, jak morze zielone, ale gdy zboże pożółknie a kłos plenny ku ziemi się nachyli, któż je ścinać będzie? Kosy zakrwawione teraz, inne mają żniwo, inne zbierają plony, już nie potem ale łzami zalane; zamiast pieśni, rozlegają się jęki lub przekleństwa.

Nagle coś zaszeleściło pod kurhanem; Motruna przestraszona stanęła, nie wiedząc czy to zwierz czy człowiek się wynurza z zielonych traw i burzanów; ale ukryć się nie było gdzie, więc czekali na miejscu, a tymczasem głowa jakaś, płowym włosom pokryta, podnosiła się coraz wyżej nad ziemię, jakby nasłuchując.

— Nianiu, to nasz Hawryłko! — krzyknęła Hańdzia i skoczyła naprzód, a biedny niemowa, bo on to był rzeczywiście, klaszcząc radośnie w ręce i dziwne głosy po swojemu wydając, przypadł do dziewczęcia i zaczął je w rączki całować.

Hawryłko zawsze Hańdzię lubił bardzo, kiedy była ma lutka na rękach ją nosił i bawił, a cieszył się, kiedy go drobnymi rączkami za włosy targała. Czasem kładł się u nóg dziewczynki i patrzył jej w oczy, jak gdyby chciał odgadnąć czego pragnęła; nie było drzewa, na któreby się nie wdrapał, żeby jej dostać owoc dojrzały lub jakie bawidełko. Krok w krok chodził za dziewczynką, która tak do niego przywykła, że się puszczała bezpiecznie poza domową zagrodę, wiedząc, że Hawryłko nad nią czuwa i nikomu jej dotknąć nie pozwoli. Straszna też była rozpacz biedaka, kiedy w onej okropnej nocy, gdy bramę wywalili, pobiegł jak strzała do izdebki dziecinnej i tam nie znalazł nikogo, nie zobaczył ukochanej panienki swojej. To bardziej jeszcze,

niż strach przed rabusiami, pomieszało mu zmysły, tak, że nie wiedział, co się z nim dzieje; takim go jeszcze zastała Motruna. Teraz Hawryłko śmiał się i płakał naprzemian, a kiedy Motruna mu pokazała, że iść muszą daleko, porwał Hańdzię na ręce i posadziwszy ją sobie na ramieniu, żwawo iść zaczął. Potem, jak gdyby sobie coś przypomniał, wyjął z sakwy kawał placka z kukurydzowej mąki i wetknął go w rękę dziewczynce. Hańdzi jeść się chciało, bo od rannego śniadania w pieczarze, upłynęło już godzin parę, a ona jeszcze nic nie jadła. Mimo tego placek rozłamała na trzy części, żeby podzielić niańkę i braciszka, a sama ze swojej części łamała po kawałku i kładła do ust Hawryłce, który śmiał się i całował rączki panienki, pilnując, żeby i sama jadła. I znowu szli może z godzinę nie spotkawszy nikogo, a przed nimi coś czerniało.

— Tu powinna być Krasnohórka, Motruno — ozwał się Bohdan — tylko dworu jakoś nie widzę.

Pobladła staruszka, i ona postrzegła pierwiej jeszcze, że zamiast białego dworu czerniała jakaś niby mogiła, jak w Koralówce. Poza wsią była też karczma wygodna, co ją trzymał Awrum stary; teraz zamiast słomianego dachu sterczał tylko nagi, okopcony komin.

— Niestety godzina moja! — zajęczała Motruna — gdzie my się podziejemy teraz...

Musieli gdzieś spocząć i jedzenia jakiego poszukać, nim pójdą dalej, a straszno było spojrzeć gdziekolwiek, żeby znów jakiej okropnej pamiątki nie zobaczyć. A w dodatku na niebie zbierać się zaczęły chmury sine

i grzmot słyhać było zdaleka. Za karczmą, znajdował się w ziemi wykopany loszek, do przechowywania jarzyny; zamiast dachu pokryty był darnią, i dlatego nie spłonął z innymi budynkami. Tu biedni zbiegowie ukryć się postanowili. Drzwi wprawdzie zamknięte były na ciężką kłódkę, ale Hawryłko, podważywszy je drągiem, wysadził z zawias, i lamusik stanął otworem.

Z początku widać w nim było tylko beczki rozmaite, desek kilka, kupkę ziemniaków, połamane stołki, ale za tem wszystkiem znajdowały się ukryte z boku drzwiczki małe, umyślnie widać pozasłaniane starymi bezużytecznymi gratami. Hawryłko z Motruną, pousuwawszy ostrożnie to wszystko, usiłowali i te drzwi otworzyć, ale nie udawało im się, drzwiczki bowiem były żelazem okute i tak szczelnie zamknięte, że nawet zamku w nich dopatrzyć nie mogli. Staruszka więc postanowiła choć tu dzieciom kącik jaki do spoczynku przygotować; tymczasem grzmoty rozlegały się coraz gwałtowniej. Hańdzia przykucnęła na ziemi, tuląc zawsze swego gołąbka pod siermięgą; Bohdan umieścił się przy niej i zaczęli pocichu rozmawiać o mateczce, która tam pewno tęskni za nimi.

Nagle szmer jakiś dał się słyszeć i coś jakby odgłos kroków. Wystraszona Motruna skoczyła ku drzwiom, chcąc je czymś podeprzeć, ale zatrzymała się zdziwiona. W ogródku bowiem stała piękna, ryza krówka i właśnie szyję wyciągnawszy ryknęła, tak żałośliwie, jak gdyby zrozumiała, co się tu stało. Gdzie była dotąd, że się przed rabunkiem wymknęła, niewiadomo, to pewna, że Motruna ucieszyła się nią, jakby darem Bożym, umyśl-

nie dla biednych sierot zesłanym. Znalazłszy też w lamusiku garnek jakiś, wypłókała go śpiesznie u studzienki, uwiązała krówkę do drzewa i doić ją zaczęła. Jakże smakowało świeże, ciepłe mleko wygłodniałym i zmęczonym, Hańdzi i Bohdanowi! Odżyli też prawie napiwszy się do sytości, Hańdzia tylko daremnie zachęcała gołąbka, żeby wziął udział w tej biesiadzie; ptaszyna otrzepywała dzióbek, zamoczony w mleczku, i ani kropelki przełknąć nie chciała. Tymczasem grube krople deszczu spadać zaczęły, a krówka wystraszona wcisnęła się do lamusu. Nagle czerwona błyskawica rozdarła chmury a Hawryłko, który znów koło drzwiczek majstrować zaczynał, krzyknął jak szalony i porwawszy coś z ziemi skoczył z radości do góry. Przy świetle błyskawicy, dojrzał sprytny niemowa klucz, ukryty za kamieniem, tuż koło drzwiczek. Okazało się też, że z boku, niziutko ukryty był pod kawałkiem skóry zamek, który teraz z łatwością dał się otworzyć i za drzwiczkami pokazała się wąska, sklepiona szyja. Motruna skrzesła ognia i zapaliwszy zwitek słomy kukurydzowej, rzucony gdzieś w kącie, poświęciła sobie do ciemnej szyi; na gwoździu, tuż przy wejściu, wisiała druciana niby latarnia, a w niej woskowa świeczka, którą zapaliwszy, puściła się staruszka ostrożnie naprzód. Szyja była dość długa, ale porządnie murowana a kończyła się okrągłą niby salką, gdzie widocznie pochowano co było kosztowniejszego. Stały tu kuferki i pudełka różnej wielkości, poprzykrywane słomą, w kącie leżały worki skórzane i płócienne a nawet przy ścianie piętrzyły się puchowe poduszki, wysoko ułożone. Pew-

nie rodzina żydowska, ukrywszy to, co miała lepszego, chciała się i sama schronić w razie niebezpieczeństwa, ale w ostatniej chwili musiało im do tego czasu zabraknąć. Teraz jednak Motruna miała wygodne schronienie, dla swoich wychowanków i zawoławszy Hawryłkę, z pomocą jego usłała wygodne łóżko w kryjówce.

Nad nimi huczał grom po gromie, padały pioruny, a nasza gromadka, ukląkszy na kamiennej podłodze, pobożnie odmawiała: „Kto się w opiekę“ i t. d., nawet niemowa klęcząc ze złożonymi rękoma, zdawał się powtarzać słowa modlitwy, którą Hańdzia głośno i wyraźnie odmawiała.

Nazajutrz słońce wstało pogodne, jakby wykapanie wczorajszą ulewą, i odbijało się w kropelkach rosy, drżących na każdej trawce. Motruna wydoiła znów krówkę, a prócz tego, znalazła się w lamusie ryba suszona, placki i kukurydza dla gołąbka. Ziemniaków napiekli sobie, przyniósłszy niedopalonych kawałków drzewa z nieszczęsnej karczmy, i naładowawszy żywnością sakwy podróżne, zaczęli znów się w drogę wybierać. Teraz wszystko było spokojnie, ale Bóg wie, co ich dalej czekało; w każdym razie, dłużej tu pozostać było niepodobieństwem. Obejrzawszy się w prawo i lewo i wymijając spaloną wieś, ruszyli ku południowi. Hańdzia, posilona i wyspana, nie dała się nieść Hawryłce i żwawo postępowała naprzód, trzymając się ręki Bohdana. Bohdan chmurno jakoś poglądał, ale Motruna przekładała mu, że trzeba spokojnie się zachować, gdyby nawet zaszło jakie przykre spotkanie, od czego niech Bóg broni, powtarzała, żegnając się pobożnie.

— Cóżbyto mateczka powiedziała, gdyby jej dzieci wpadły w jakie niebezpieczeństwo! — dodawała.

Na wspomnienie matki, Hańdzi łązy spływały po twarzyczce, a Bohdan zcicha powtarzał:

— Dobrze, dobrze! Handzię do mateńki odprowadzę, a potem pomyślę o sobie. Przecie król Bolesław Krzywousty był takim, jak ja młodym, kiedy już bił Niemców, to i ja to samo potrafiłbym.

III.

Niebezpieczna gościna. — Ucieczka. — Spotkanie.

Tymczasem postępowali dalej po stepie, i już słońce wysoko stało na niebie, kiedy zdaleka zabielało coś przed nimi; szli więc ostrożnie, nasłuchując ciągle, i nagle u nóg ich otworzył się jar, gdzie nad brzegiem szumiącego potoku, tuliła się do skał wapiennych wioska, tak ukryta stromymi jaru brzegami, że ją teraz dopiero zobaczyli w parowie. Dwór tylko na wzgórzu się wznosił i ten im zabielał zdala, wysokim otoczony częstokołem. Motruna zawahała się co robić. Nie wiedziała, czyja to była wieś i czego się w niej spodziewać można, ale przecież trzeba gdzieś spocząć i dowiedzieć się między ludźmi, co słyhać, którędy iść bezpieczniej. A właśnie u wejścia do jaru, przy ubitej grobelce stał młynek niewielki, terkocząc dwoma kołami, które obracał strumień, spływający ze skały z szumem i hałasem. Przed młynem, wsparłszy się pod boki rękami, z czerwoną chustką na głowie zawiązaną, stała młynarka zapewne, bo cała była umęczona, i rozglądała się wo-koło.

— Dobrego zdrowia życzę! — ozwała się do niej Motruna.

— A skąd wy? — odparła młynarka.

— Do Poczajowa idziemy — mówiła znów Motruna, ale dzieci się pomęczyły i chcielibyśmy spocząć cokolwiek. — Może nas, matko, przyjmiecie?

Młynarka prosto w oczy spojrzała przybyłej; a wzrok miała przenikliwy: duże czarne oczy świeciły z pod brwi gęstych i namarszczonych, a patrzała z góry, bo wysoka była jakby mężczyzna. Nie musiała być bardzo radą gościom, ale żal jej się widać zrobiło dzieci, bo rzekła do Motruny:

— Poco taki drobiazg brać z sobą w drogę, żeby gdzie zamary!

Potem poszła przodem i otworzyła drzwi od chłupy do młyna przypartej. Czysto tam było i chędogo: piec wybielony z leżanką na nim do spania, ławy umyte i stół wyszorowany doskonale, a w kącie duża skrzynia, na ciemno pomalowana, równie jak i belka u pułapu, na której wyrzynięty był napis z Pisma Świętego w cerkiewnym języku. Na półkach u ściany poustawiane były misy gliniane i garnuszki, a nad łóżkiem wysoko usłanem, świeciły jaskrawo obrazy Matki Boskiej Poczajowskiej, Berdyczowskiej, Pana Jezusa, Św. Mikołaja, Św. Onufrego i inne. Młynarka nakryła stół obruskiem bielonym i haftowanym wzorzysto w czerwone i granatowe krzyżyki, położyła na nim duży płatek, sera kawał i sól w drewnianej solniczce. Potem usiadłszy na ławie pod oknem, zaczęła się bacznie przyglądać podróznym.

Motruna tymczasem zaczynała gawędę o tem i owem, żeby odwrócić uwagę gospodyni od dzieci, które Bogiem a prawdą, chociaż w świątkach, wcale jednak pokąźnie wyglądały. Z rozmowy pokazało się, że mąż młynarki, Hryhor, był czumakiem, to jest, jeździł po sól nad morze, a żona sama we młynie gospodarzyła.

— I teraz pojechał, ale nie po sól — dodała młynarka, uśmiechając się jakoś złowrogo.

I młynarka przypatrywała się chłopięciu, podnosząc od niego znów oczy na Motrunę, jak gdyby chciała porównać te dwie twarze.

— To wasz chłopiec? — zapytała wreszcie, patrząc dziwnie jakoś w oczy Motrunie.

— A mój wnuk — odrzekła staruszka — odwracając się niby dla poprawienia włosów chłopczynie, które mu nasunęła na czoło i oczy.

— Jakież piękny! — wymówiła powoli młynarka — bielutki jak mleko!

I znów zaczęła rozpytywać, skąd przybywają podróźni?

Motruna, niewprawa w kłamstwo i zresztą nie wiedząc sama co mówić, wymieniła Korałówkę.

— A to już tam pewno byli nasi! — ozwała się młynarka nagle. — Widzieliście ich? — dodała.

— Kogo? — spytała znów Motruna wystraszona.

— A bo wy to nie wiecie, co się na świecie dzieje? Ho! ho! teraz wszystko będzie inaczej.

I dalej opowiadać, jak to ludzie gromadzą się, jak przechodzą z jednej okolicy do drugiej...

Andrzejko z otwartymi szeroko oczami słuchał te-

go, Bohdan zaś zrywał się z ławy, już miał coś wykrzyknąć, bo mu oczy zabłyśły, ale Motruna porwawszy mniemanego wnuka za ramiona, wypchnęła z izby, szepcząc do ucha, żeby się nie odzywał, broń Boże, a głośno mówiąc, żeby trochę posiedział na przyźbie z Andrzejkiem.

— Nie trzeba przy dzieciach mówić — odezwała się do młynarki — jeszcze małe, nie rozumieją nic.

— Czemu nie — odparła kobieta, biorąc się pod boki, ot, i mój nie starszy a poszedł za ojcem.

Motruna słuchała, udając, że potakuje, ale w duchu zamierała ze strachu. Chciałaby jednej chwili uciec od strasznej gospodyni swojej, ta jednak raz się rozgadawszy, nie przestawała.

— Ot, — mówiła, i z naszego dworu pani uciekła z dziećmi gdzieś daleko, a pan jeszcze dawniej poszedł na wojaczkę. Niezłe to paniska, ale, lepiej żeby ich nie było, to wszystko nam zostanie. Dworu spalić nie dam, bom to przyrzekła pani, co mnie i mojego ratowała nieraz w chorobie, ale „komisarza“ pańskiego nie przepuścimy, bo to zły człowiek. Nasi też nadejdą, ale trzeba im się spieszyć, boć tu pono idzie z wojskiem pan Stempkowski, którego się wszyscy boją strasznie; nasi przed nim, jak barany uciekają, gdy się pokaże.

— A gdzież jest pan Stempkowski? — jęła rozpytywać Motruna, pomyślawszy zaraz, że wartoby skryć się pod jego opiekę jak najprędzej.

— Bóg jego wie — odparła młynarka — on dziś tu, jutro tam, ale musi być niedaleko.

Wtęj chwili zrobił się jakiś szmer na podwórzu,

a Motruna, usłyszawszy krzyk przestachu Andrejka swego, wyskoczyła z chaty jak szalona. Na środku podwórza stał Boryś z zaciśniętymi pięściami i iskrzącym okiem, a naprzeciw niego chłopak czarny, ogorzały z kudłatym włosiem, którego Hawryłko trzymał za kark i nie dawał mu się rzucić na Borysia. Chłopak szarpał się ze złości, ale niemowa trzymał silnie.

— A to co? — krzyknęła młynarka. — Puszczajcie mego Hrycia!

Niemowa puścił chłopaka, który z krzykiem rzucił się do matki, wołając, że go ten przybłęda bić chciał.

— Co to jest? — pytała znów Motruna mniemanego Borysia.

— Chłopiec ten — odrzekł Bohdan — przyszedł tu i zaczął oglądać nasze ubranie, a namacawszy pod siermięgą moją bekieszkę, pytał, czy to zrabowane. „My nie złodzieje, nie rabusie“, krzyknąłem, a on mnie chciał uderzyć, więc go schwyciłem za kark, a tu Hawryłko przyskoczył, żeby nas powstrzymać.

Hrycko tymczasem coś głośno bardzo matce opowiadał, ta zaś niewiele myśląc, porwała łopatę, i nim się kto obejrzeć mógł, ugodziła w głowę biednego niemowę, aż się potoczył na ziemię.

— Co to wy — krzyknęła do Motruny — będziecie rozbijali w mojej chacie, dam ja tu wam...

Staruszka chciała tłumaczyć, że choć się dzieci trochę poswarzyły, to przecie nic nie szkodzi. Młynarka jednak zdawała się coś podejrzuwać, bo rzekła, że ich krokiem stąd nie puści.

— To nie nasi! — krzyczał Hrycko i wskazywał

na Andrejka, który drząc na całym ciele, tulił się do babki.

Darmo Motruna prosiła, żeby ich puścili dalej, młynarka śmiała się tylko, mówiąc, żeby sobie wypoczęli tymczasem. Biedny niemowa jęknął boleśnie, i w jednej chwili Andrejko był przy nim, a zdejmując z szyi chustkę, maczał ją w wodzie i przykładał do skaleczonej głowy biedaka. Gołabek, puszczonej tymczasem, usiadł na ramieniu chłopczyka i wszyscy troje tak dziwnie wyglądali, że aż się młynarka zastanowiła, patrząc na nich. Mały chłopczyka z ciemnymi oczyma leż pełnemi, klęczał na ziemi, podtrzymując kudłatą głowę niemowy, a biały ptaszek, jak gdyby chciał im dopomóc, przechylił czubatą główkę na bok i rozglądał się wokoło.

— Nie gniewajcie się matko — prosiła Motruna — i pozwólcie nam odejść spokojnie, a waszemu chłopcu dam ot, tę krasną chuścinę, żeby był dobry — dodała, wyjmując czerwoną jedwabną chusteczkę z pod kożuszka, który miała na sobie.

— Naco mnie wasza chustka, dosyć mi mój nawiózł wszystkiego do skrzyni — odrzekła młynarka — ale chłopiec już chwycił za krasną szmatkę i uciekł z nią do izby.

— Oj, ten urwipoleć — mruknęła młynarka, patrząc za synem — całkiem ojcowska natura! Ale co was, to nie wypuszczę — dodała — jeszcze naprowadzilibyście tu wojsko, Bóg wie kto wy i poco tu przyszlście?

Nie było rady, musieli zostać, a Motruna tylko

przemyśliwała, jakby dzieci uratować z tej pułapki, w którą wszyscy, prawie dobrowolnie, wpadli. Młynarka odeszła wprawdzie do swego młyna, ale chłopcu przykazała, żeby ani na krok od więźniów nie odstępował, czego złośliwemu Hryciowi nie trzeba było powtarzać.

Motruna po cichu coś szeptała z Borysiem, a biedny Hawryłko, usiadłszy na ziemi, podpierał rękami bolącą głowę. Tak im przeszło godzin parę i już się miało ku wieczorowi, gdy wróciła gospodyni. Motruna starała się ją udobruchać, a widząc, że udawanie niewiele tu pomoże, i że młynarka ciągle się jakoś przypatruje mniemanemu Andrejkowi, przyznała się jej, że to dziewczynka przebrana tylko tak na drogę, żeby łatwiej przejść między obcymi ludźmi.

— Widzicie — rzekła wieśniaczka — ja to odrazu poznałam, że wy coś tumanicie, dałabym wam dobrze za to, ale mi żal dziecka — i pogłaskała Hańdzię po głowę.

Potem zaczęła opowiadać, że i ona miała córeczkę, co jej zmarła, a takie same oczy duże miała i taka bielutka była; nie tak jak Hrycio — mówiła — bo ten, to czysty ojciec.

— Ot, wiecie co? — dodała w końcu — zostawcie mi waszą dziecinę a idźcie z chłopcem, gdzie was oczy poniosą. Ja jej krzywdy nie zrobię, umyję, wyczeseję, będę pieściła i pilnowała, jak oka w głowie.

Biedna Hańdzia, słysząc te słowa z trwogą, się tuliła do Motruny, która widząc, że wcale jej nie zachęcały pieszczoty czarnej młynarki, bała się wręcz odmó-

wić, i tylko prosiła, żeby ją teraz z dziećmi puścić do Poczajowa, gdzie się ofiarowała, z powrotem zaś wstąpi znowu.

— Ej, co tam gadacie o Poczajowie, zanimbyście doszli, toby was sto razy złapali na drodze! — odrzekła młynarka. — Naszych ludzi, jak mrowia wszędzie, a oni wam pewno nie darują. Ot, idźcie spać teraz, a jutro pogadamy.

Dziwaczna gospodyni postawiła jeszcze przed niemi donicę, pełną gorącej mamałygi, czyli lemieszki z mąki kukurydzowej, ze skwarzoną słoniną, która, mimo strachu i niepokoju, smakowała naszym wędrowcom. Hańdzia tylko nie chciała jeść, dopóki nie zaniósł Hawryłce, który się trochę ocucił i pił chciwie wodę ze studni. Po wieczery, gospodyni Borysia z niemową zamknęła w szopie i założyła drzwi kołkiem, a Motrunie z Hańdzią kazała się położyć na piecu w izbie, gdzie też sama układała się do spania na łóżku, Hrycia mieszcząc przy sobie. Motruna udawała, że śpi, ale ciężko jej było na sercu i oka zmrużyć nie mogła, przemyślując co robić? Kiedy wreszcie poznała, że gospodyni twardo usnęła i sapie, jak miech kowalski, zsunęła się cichutko z pieca i ostrożnie drzwi odchylając, znalazła się w sieni. Na podwórzu biegał teraz wielki pies, z łańcucha spuszczoney, ale Motruna miała dla niego placka kawałek i otworzywszy drzwi od sieni, czekała, aż do niej przyjdzie; potem zwabiwszy go plackiem, sama się wysunęła na podwórze i drzwi zaparła. W jednej chwili była już przy szopie i namacawszy

kołek, otworzyła ją a Bohdan, który także spać nie mógł, zerwał się na równe nogi, pytając, kto to?

— Cicho synku — szepnęła Motruna — uciekajcie co prędzej z Hawryłkiem i szukajcie pana Stempkowskiego, który gdzieś tu niedaleko ma być z wojskiem. Nas z Hańdzią jakoś Bóg uratuje, a może wróćcie po nas...

Niemowa także się dźwignął i prędko zrozumiał, czego chcą od niego, ale ciągle pokazywał w stronę, gdzie była Hańdzia, jak gdyby ją chciał zabrać. Musiała go Motruna głaskać i prosić, wreszcie wypychać, żeby koniecznie szedł z Bohdanem. Wkrótce obaj byli już za wrotami, a Motruna znów cichutko wsunęła się do izby. Młynarka chrapała, aż się ściany trzęsły, Hrycio także się nie ruszał, a Hańdzia z zarumienioną twarzą spała smacznie; czasem tylko usteczka poruszały się dziewczynce i łkając, szeptała przez sen: „Mateńko, Mateńko...”

— Biedna sierotka! — mówiła ze łzami pocziwa piastunka — biedne dziecińcy moje! — i gorzko zapłakała, myśląc znów o Bohdanie, co tam w ciemną noc gdzieś wędrował. Znużona wreszcie staruszka zaczyna wśród płaczu drzemać, gdy nagle dał się słyszeć hałas jakiś zdaleka i stukanie do wrót, które ona sama podparła starannie, wyprowadziwszy Bohdanka z niemową.

— Hej, Kiłyno! — ozwał się głos męski, chrapliwy, a pies zaskomlał głośno, i młynarka zerwała się z posłania.

— To mój powraca — zawołała do Motruny — cicho tam siedźcie — i wybiegła z izby.

Po chwili ciężkim krokiem wszedł wysoki mężczyzna i rzucił się na ławę, mówiąc:

— Rozpal ogień i dawaj co pić i jeść!

Przy słabem świetle kaganka, Motruna przypatrywała się nowoprzybytemu, którego twarz ogorzała, małe czarne oczy i długi, cienki wąs, wstrętne jakoś wyglądały. Miał na sobie krótki kożuch, u pasa wisiał mu długi nóż, błyszczący zdaleka, a w rękę trzymał topór czy siekiere, którą teraz rzucił na ławę, aż szyby zabrzęczały w oknie. Odzienie jego było pokryte ciemnymi, jakby rdzawymi plamami, a włos splełany pod baranią czapką, której nie zdejmował wcale, nadawał mu pozór bardzo niepowabny.

Młynarka postawiła przed nim blaszaną z wódką i miskę zimnej mamałygi, którą zjadł chciwie, a potem jak był odziany, rzucił się na łożo. Sen jego był niespokojny, bo się rzucał i miotał a czasem wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe wyrazy; wtedy Motruna, modląc się po cichu, zasłaniała sobą Hańdzię, jakby ją uchronić chciała; ale dziecina spała spokojnie w tej wilczej jaskini, jak gdyby w łóżeczku swem, w Koralówce. Myślała przed chwilą piastunka, żeby wzięwszy dziecko na ręce, wysłizgnąć się także z chaty, ale strach ją przejmował, bo wszędzie wokoło na stepie, mogli być napastnicy, a tu przynajmniej młynarka może choć dziecku krzywdy zrobić nie da. Niezadługo już i dzień zaczął: gospodyni, wstając do rozpalania ognia, odezwała się do Motruny:

— Nie śpicie, kumo! Nie bójcie się, tylko nie nie gadajcie, już ja mu powiem, co potrzeba...

Jakoż gdy tylko gospodarz chaty oczy otworzył, rzuciwszy okiem po izbie, spytał, co się tam rusza na piecu? Młynarka zaczęła prawić, że to jej kuma z dzieckiem na nocleg się zatrzymała, w drodze na jarmark, do Bałty.

— Teraz wszędzie jarmark — odezwał się gospodarz — a dobry, bo i pieniędzy nie trzeba, wszystkiego pełno, czego dusza zapagnie.

Zaśmiał się, mówiąc to, a z worka, który był zdjął w nocy i położył przy sobie, wysypał na łóżko rozmaite rzeczy. Były tam i kawałki materji złotolitych, pasy, kołpaki i naczynia złote lub srebrne, klejnoty, perły, aż blask bił od tych kosztowności.

— To dla ciebie i dla chłopca — mówił, kładąc na kudłatą głowę Hrycia piękny, sobolowy kołpak z kitą i turkusową spinką, a żonie rzucił pas szeroki, złocisty. — Było tego i więcej, ale nie miałem gdzie zabierać; a regimentarz Stempkowski niedaleko, jak mówią ludzie.

Motruna martwiała ze strachu, słuchając tego wszystkiego, biedna zaś Hańdzia tuliła się w kąciuku, bojąc się odetchnąć nawet. Po chwili młynarka z mężem wyszła z izby, zabrawszy w worku łupy świeżo przyniesione i przykazując Hryciowi, żeby się nie oddalał. Zaledwie starzy zniknęli, gdy chłopiec przysunął się do Motruny i cicho mówić zaczął:

— Bierzcie swoją dziewczynę i uciekajcie, bo ja

nie chcę, żeby ją matka wzięła i karmiła tu w chacie, bo to moja chata i wszystko dla mnie.

Motruna, niewiele myśląc, zabrała się co prędzej z Hańdzą i wybiegła na podwórze, a chłopiec sam im wrota otworzył. Słońce już weszło, rosa drżała na wszystkich trawkach, Motruna, wzięwszy za rękę dziecko, biegła szybko przed siebie, nie oglądając się poza siebie.

IV.

Opiekun. — Choroba. — Wiadomość.

Bohdan, z niemym towarzyszem swoim znalazłszy się wśród nocy na stepie, uczuł mimowolną trwogę. Pierwszy raz w życiu znalazł się sam na szerokim świecie, bez ojca i matki, bez opieki, gdyż biednego kalekę, trudno było za opiekuna uważać. Gwiazdy błyszczały na niebie, w parze zdaleka czerniały chaty wioski, ale do tej nie miał chęci zaglądać Bohdan, bał się tych ludzi, dziwnym jakimś ogarnionych szaleń, a tak niepodobnych do tych, których przywykł znać od dzieciństwa w rodzinnej wiosce. Wolał w stepy się zwrócić i tam szukać owego regimentarza Stępkowskiego, którego się tak opryszki bali. Szli więc obaj z Hawryłkiem prosto przed siebie: cicho było, tylko trawy stepowe od wiatru poruszane, wydawały lekki szum, świerszcze odzywały się, przygrywając na swoich skrzydełkach, a czasem rozlegał się smutny krzyk puszczyka. Potem odległe, ale dziwne jakieś dolatywały ich szmery: chwilami zdawało się, że jęk żałosny przedziera się przez powietrze i głuchy szcęk jakiś słychać zdala, a na nie-

bie od wschodu, zabłysła czerwona łuna. Przystanęli, obejrzel się, a potem żwawo pomknęli naprzód; nagle Hawryłko zatrzymał się i po swojemu przypadł do ziemi, nasłuchując; Bohdan ukląkł także i przyłożywszy ucho do ziemi, usłyszał wyraźnie tętent kopyt końskich, szybko się zbliżający ku nim. Co to było, wróg czy przyjaciół, zgadnąć trudno a ukryć się, także niełatwo, zwłaszcza, że gwiazdy poblady już na niebie, a obok łuny pożarnej, białą jasny pas zbliżającego się świtu. Wkrótce słychać było gwarne krzyki i śpiewy dzikie. Bohdan nie wątpił, że do nich zbliżali się hajdamacy. Niemowa wystraszony padł na ziemię, jęcząc i krzycząc po swojemu, ale Bohdan, choć mu także serce biło jak młotem, stał przy nim i patrzył prosto w dał, skąd ich dochodziły odgłosy pochodu. Niebawem cała gromada wysypała się na równinę, teraz już bielejącą dziennym światłem. Ptastwo spłoszone zerwało się w górę, wydając trwożny pisk zamiast świergotania, jakim zwykle było witać wschód słońca. Kilku mężczyzn jechało na przedzie konno, za nimi dopiero wlokła się reszta. Jeden z jadących przodem, dostrzegł coś czerniejącego wśród stepu i krzyknął, zapytując, co to za lichy?

Niebawem gromada cała obstała Bohdana i leżącego ciągle na ziemi niemowę, którego zaczęli szturchać, żeby się przekonać, czy żyje. Bohdan wtedy przemówił do nich, tłómacząc, że to biedny niemowa i że musi chleba prosić, bo zarobić nań nie może.

— To chodź z nami, chłopcze, a głodu nigdy nie zaznasz — zawołało kilka głosów.

Nie było co robić, Bohdan potrząsnął Hawryłką, który dźwigał się z ziemi, wystraszonym wzrokiem poglądając wokoło i mrucząc coś po swojemu, co się tak gromadzie spodobało, że jeden z niej, wywijając skrzypcami, zaczął naprzeciw niego tańczyć i skakać. Bohdanowi dziwna myśl przyszła nagle, i porywając smyczek, zaczął grać „czarabaszke“, przy której tancerze klaskali i krzyczeli: hu-ha! Potem przeszedł w rzewną jakąś dumkę. Chłopczyna od kolebki lubił niezmiennie muzykę i na przywiezionych przez ojca skrzypcach wygrywał nieraz wieczorami całemi, rozmaite dumki i szumki ukraińskie. Teraz mu się to przydało, bo cała gromada na dźwięk pieśni znanych i ulubionych, skupiła się wokoło młodego grajka. Gdy wreszcie zmęczony, umilkł, otoczyła go zgraja, krzycząc, żeby z nimi dalej jechał, znalazł się i koń luźny, na którego wsadzono chłopaczką, za nim wgramolił się niemowa i tak ruszyli, nie wiedząc dokąd i po co. Wkrótce jednak usłyszał Bohdan nowe jakieś krzyki, które zdawał wiatr przynosił, później czarna chmura dymu wznosiła się przed nimi ku niebu, a wreszcie zabielała wioska, gdzie już gospodarowała inna gromada, spaliwszy zabudowania. Głośniejsze jeszcze okrzyki powitały przybywających, którzy też, nie czekając długo, pozsiadali z koni i powytaczali beczki z wódką i piwem ze wsi na pole. Rozpoczęła się pijatyka, bójk i wydzieranie sobie zdobytych łupów; na Bohdana wołali, żeby im grał i wyskakiwali, płacząc nogami a wykrzykując, hu-ha! Były w tej gromadzie i kobiety z rozpuszczonemi włosami, wszystko to śmiało się, klęło, krzyczało, a biednemu

Bohdanowi zdawało się, że jest w piekle, o którym straszne prawią powieści. Znużony, wystraszony, odsunął ze wstrętem podawaną sobie czarkę z wódką i grał, jak nieprzytomny, nie wiedząc prawie, co się z nim dzieje. Hawryłko nie odstępował go ani na chwilę.

Długo trwała pijatyka, wreszcie pokładli się wszyscy na ziemi i pozasypiali wśród dnia białego; chłopczyzna, nie puszczając skrzypki, wsparł głowę na jakimś węzélku z rzeczami i także usnął twardo. Wiele godzin tak przespać musiał, aż obudził go nowy hałas: przetarł oczy, nie widząc z początku, gdzie się znajduje, a Hawryłko, u nóg jego siedzący, włożył mu w rękę kawał mięsa pieczonego i placka, sam także zając. Zgłodniały chłopczyzna machinalnie prawie podniósł jadło do ust, a tu wokoło nich ruch i gwar coraz większy: nowa gromada musiała przybyć i obozowisko coraz się rozszerzało. W kilku miejscach rozpalone były ognie, przy których ludzie piekli ogromne kawały mięsa, z porzniętego świeżo bydła. Śpiewy i krzyki, dymy z ogniska, zapach wódki i z mięsa skwarzonego, wszystko to razem tworzyło okropną mieszaninę. W jednym jednak miejscu, głośniejsza jeszcze była wrzawa, ludzie się tam tłoczyli, jakby na jakie widowisko. Nagle rozległ się krzyk rozdzierający. Bohdanek a za nim Hawryłko, poskoczyli w stronę, gdzie się rozległo żałosne to wołanie i straszny widok przedstawił się ich oczom: wokoło ogniska skupiła się gromada pijanych rabusiów, a jeden z nich widłami popychał dwoje małych dzieci, związanych za rączki z sobą; dziewczynka jasnowłosa

tuliła się z przerażeniem do braciszka, który siostrzyczkę swoją zasłaniał ciałem własnym, bo ręce miał związane. Dzicy ludzie, upojeni gorzałką i szaleństwem, krzyczeli:

— W ogień rzucić, upiec te kurczęta!

I coraz bliżej pchali ku płomieniom biedne maleństwa. Krew zawrzała w Bohdanku: zapomniał o własnym niebezpieczeństwie, o strachu, o słabości swej i rzucając się przez tłum do rabusia, który widłami szturchał dzieci, wyrwał mu je w jednej chwili i z okiem zaiskrzonym krzyknął:

— Nie mordujcie niewinnych! Bóg was ciężko skarże!

— A ty gadzino jakaś! zakłuć go! — krzyczeli rabusie i już jeden z nich podniósł wyostrzoną kosę.

Błysnęło w oczach Bohdanowi, ale w tej samej chwili, wierny Hawryłko, rzucił się przed panicza swego i padł z roztrzaskaną głową, jednocześnie też dał się słyszeć hałas z przeciwnej strony. Co tam się dalej działo, już Bohdanek nie wiedział, pamiętał tylko, że nastąpił popłoch i że uczuł nagle ból i gorąco w lewym ramieniu, potem pociemniało mu w oczach i stracił przytomność.

Gdy Bohdan oczy otworzył, pole wokoło zasłane było trupami: między zgłiszczami niedopalonych ognisk wały się porzucone różne ostre narzędzia i niedojedzone mięso; trawa była zdeptana. Chłopczyzna podniósł się trochę na prawym łokciu, drugie ramię bowiem ciążyło mu i bolało za każdym poruszeniem; tuż obok zobaczył już nieżywego, pocziwego Hawryłka. Tymczasem

przez pobożowisko przejeżdżał zwolna orszak zbrojny znanych mu ludzi. Dobył biedak sił ostatnich, żeby zawołać i dać znać o sobie, czując, że sam z miejsca ruszyć nie potrafi. Przodem jechał dowódca, średniego wzrostu, ale dobrze zbudowany; twarz miał przyjemną i jakgdyby dobroduszenie uśmiechniętą, a spadały mu aż do szyi wąsy zawiesziste, jeden ciemny, drugi jasny, lnianej prawie barwy. Był to pan obożny Stempkowski, tak później wstawiony srogością, że go Józefem „Strasznym“ przewano i długie lata imię jego było postrachem dla wszystkich awanturników. Jadąc na czele hufca, z którym rozpędził rabusiów, sporo ich schwytawszy i kazawszy w dyby okuć, oglądał się bacznie wokoło, jak gdyby czego szukał. On też najpierwszy spostrzegł dźwigającego się z ziemi Bohdana i spiąwszy konia ostrogą, podjechał bliżej. Na widok sukmany krwią zbroczonej, krzyknął:

— A ty czego wrzeszczysz, djabli synu! Dobić tę gadzinę!

— Jam nie z gromady, panie! — ozwał się ranny chłopczyna — nazywam się Roszkowski z Korałówki, matka nasza uchodzić musiała, a mnie w nocy schwytali i pokaleczyli.

Tu mówić przestał, krew mu się znów połała z ramienia i omdlały, osunął się na murawę.

— Hej! chłopcy! podnieście mi tego chłopczynę — zawołał pan obożny do swoich — i niech mu który ranę obwiąże!

Najpierwszy rzucił się do Bohdana siwiejący już mężczyzna o długich wąsach, i podniósłszy go deli-

katnie, złożył głowę jego na swoich kolanach i zaczął mu skronie oblewać wodą, podaną w czapce, przez któregoś z żołnierzy. W lewym ramieniu chłopca, powyżej łokcia, tkwił odłamany kawałek spisy, który wyciągnął z ręcznice: krew trysnęła, a ból ocucił Bohdana. Tymczasem Kozak kazał udrzeć kawał płótna i owinał nim ranę chłopczyny.

— Bóg wam zapłać — ozwał się mały wojak — teraz mi już lepiej, a za kilka dni może znajdę pana Stempkowskiego i pojedę z nim na wojnę.

— Ho, ho! mój junaku — zawołał dowódca, pociągając wąż swój jasny (bo ciemnemu zwykle dawał pokój), — cóżto ci tak pilno do wojaczki, a pan Stempkowski, czy to waścin brat czy swat, że tak się napewno do niego wybierasz?

— To żaden mój krewny, nawet go na oczy nie widziałem, ale słyszałem, że dobrze bije rozbójników, chciałem więc prosić, żeby mnie zabrał z sobą.

— Pana Stempkowskiego nie potrzebujesz długo szukać, bo oto go masz przed sobą, ale przyznam się, że w mojej chorągwi, dotąd jeszcze, takich towarzyszy nie miałem. Podoba mi się jednak twoja fantazja, młodzieńcze!

Ośmielony dobrocią dowódcy, Bohdanek miał już prosić, żeby choć kilku żołnierzy posłał do wioski, gdzie być musiała Hańdzia z Motruną, ale rana go coraz mocniej bolała i znów słabnąć począł.

— Niema tu co gadać długo — ozwał się pan obożny — słuchaj, Szeleś, weź ze sobą tego chłopaka

i jedź do miasteczka z konwojem przy rannych, których tam mamy. Pamiętaj, żebyś mi chłopca nie zatracił, boby go szkoda — dzielna sztuka, na nogach ustać nie może, a rwie się do pracy, będą z niego ludzie...

I oboźny odjechał ze swoim oddziałem, a kilku zbrojnych, pod wodzą Szelesta, zawróciło w przeciwną stronę, otaczając wóz, gdzie leżało kilka osób jęczących i porkwawionych. Bohdanowi serce zabiło, gdy ujrzał kobietę ranioną o bardzo bladej twarzy. Przypomniała mu się własna matka jego, która teraz Bóg wie, gdzie się znajduje. Kozak Szelest, który go za sobą na koniu umieścił (bo chory prosił, aby go na wozie nie położono), opowiedział, że to były ofiary, pokaleczone przez rozbójników w sąsiednim dworze, skąd je nawpół żywe zabrano, żeby jako tako ratunku udzielić.

— A dokądże my jedziemy? — spytał Bohdan.

— Do Koszowatej, paniczeńku! — brzmiała odpowiedź starego Kozaka.

Jakoż po godzinie może jazdy, która się bardzo przykrą Bohdanowi wydała, bo go rana srodze bolała, zobaczyli niskie domostwa osady, zwanej Koszowatą. Wóz toczył się powoli, po drodze, niezbyt równej, słońce przypiekało, ranni jęczeli, aż serce się krajało, i prosili wody. Szelest kazał jechać dalej swoim, a sam zatrzymał się przed chatą, która opodał od reszty domostwa stała, bokiem obrócona do drogi, nawpół schowana w zielonym sadku. Drzewczki się odchyliły i wyrzła niemłoda już kobieta wiejska.

— Horpyno — ozwał się Kozak — weź tego pa-

nicza, opatrz mu ranę, daj się co napić i miej o nim pieczę, póki ja nie powrócę.

Bohdan nie miał siły już o nic pytać i byłby upadł na ziemię, gdyby go wieśniaczka nie objęła silnie wpół i niosąc prawie, nie wprowadziła do chaty. Stosownie do polecenia Szelesta, zajęła się opatrzaniem rany, zaognionej już od jazdy w upał, obmyła ją i zatkła chlebem z pajęczyną, poczem dała się chłopcu napić mleka kwaśnego i ułożyła go na własnym łóżku, namawiając, żeby się przespał. Bohdanowi zdawało się, że widzi przed sobą pocziwą Motrunę, piastunkę swoją co też gospodyni powiedział; chciał coś mówić więcej, ale senność i gorączka tak go zmorzyły, że wpadł w sen, wśród którego jednak rzucał się, wołając mateczki, Hańdzi, Hawryłka i zrywał się tak, że go Horpyna trzymać musiała. Przez długi czas nie odzyskał Bohdan przytomności; rana rozogniona, trudy i wzruszenia dni ostatnich sprawiły silną gorączkę, która się wzmagala mimo leków, przyrządzanych przez starą wieśniaczkę.

Szelest, zgłosiwszy się po swego panicza, zastał go zupełnie pozbawionego przytomności i bał się go ruszać z miejsca, zalecił więc tylko Horpynie, żeby troskliwie nad chorym czuwała i nie szczędziła dlań wygód wszelkich, na co jej zostawił czerwony złoty.

Tymczasem nasz Bohdan leżał w gorączce i nic o sobie nie wiedział; wreszcie jednego pogodnego ranka oczy otworzył, spojrzał wokoło siebie i zdumiał się. Na ławie siedziała stara wieśniaczka w białej koszuli, bogato wyszywanej w czerwone i granatowe krzyżyki,

w sukiennej, wążutkiej zapasce *) i fartuchu; obracała wrzeczono i śpiewała przytem dumkę: „Ne chody, Hryciu, na wieczernyciu“, tak, jak to często nuciła Motruna, ale Bohdan nie mógł sobie zrazu przypomnieć, gdzie się znajduje... Patrzał, patrzał, usiłując trochę dzwignąć głowę, i powoli zaczęła mu się snuć w pamięci nieć wspomnień, jak gdyby ta, którą kobieta z kądzieli swej szybko wysnuwała. I widział ucieczkę z domu w noc ciemną, i pieczarę nad Bohem, potem straszną młynarkę, zakrwawione zwłoki Hawryłki i postać okazałą pana oboźnego, z jednym wąsem ciemnym, a drugim lnianym, w błyszczącej zbroi, na bułanym koniu. Zdawało mu się także, że widzi pocziwą twarz starego Kozaka, pochyloną nad sobą. Tak, teraz już wiedział, co się z nim stało. Spojrzał na wychudzone ręce swoje, dotknął głowy i uczuł króciutko obcięte włosy. Wiśniaczka, która od chwili patrzyła na niego, jak gdyby myśli jego odgadła, zbliżyła się do łóżka, uśmiechnęła się i spytała:

— Cóż, czy już wam lepiej, paniczu? Wiele to już niedziel, jakżeście tak jasno nie spojrzeli, jak teraz! A możebyście co zjedli?

— O, dajcie, dajcie matko! Bardzo mi się jeść chce! — odparł Bohdan — i aż się na łokciu wsparł, patrząc chciwie, jak mu Horpyna przyrządzała misę jakiejś kwaskowatej wiśnianki. Zjadłszy z apetytem tę polewkę z kawałkiem podpłomyka, dopiero wdał się

*) Czworoboczny płat grubego sukna, obwiązany wokoło pasa i zastępujący Ukrainkom spódnice.

w rozmowę ze swoją opiekunką, która mu opowiadała, co mogła.

Powoli zaczął nasz chory podnosić się z łóżka i siadywać na przyźbie przed chatą; w sadzie dojrzewały śliweczki, więc już wiele czasu upłynąć musiało, odkąd go tu odwiózł Szelest. Nie miał już teraz ochoty naciągać owej sukmany, w którą go dla bezpieczeństwa musiała przebrać Motruna, ubierał się więc w ulubioną bekieszkę granatową, którą zdjawszy zeń, gdy był nieprzytomny, wiernie przechowała Horpyna. Była, co prawda, duża i niezbyt zręcznie zaszyta dziura na lewym ramieniu, przebitem niegdyś spisą. Ale cóżto szkodzi! Bohdanowi się zdawało, że był żołnierzem, jak np. dziadek jego, co pod Połtawą w r. 1709 otrzymał rany, przy boku Karola XII, króla Szwecji.

Jednego razu, siedząc tak sobie na przyźbie przed chatą, bo jeszcze nie miał dość siły do chodzenia po dawnemu, spostrzegł Bohdan niezwykle tuman kurzu na drodze, gdzieś od południa. Prawda, że i bydełko, wracając z paszy, nieraz kurz podnosiło, ale ten tuman był większy i nawet ziemia dudniła, jakby od kopyt końskich; jakoż rychło ukazał się poczet zbrojny, polyskujący się od promieni zachodzącego słońca. Chłopcyna zerwał się z miejsca i podszedł ku wrotom, błady ze wzruszenia, i Horpyna też wybiegła, ciekawa i niepokojna o wychowanaka swego, do którego się szczerze przywiązała.

Znów jechał na przedzie znany już Bohdanowi pan oboźny, za nim drużyna zbrojna, tylko Szelesta dojrzeć nie mógł chłopczyk. Z tyłu postępowała gro-

mada, otoczona także zbrojnymi, a między nimi jechało też kilka wozów.

— To chyba więźniowie — pomyślał Bohdan — ale gdzie tam! Ci wprawdzie byli bez broni, niektórzy bardzo blado wyglądali, mieli poobwiązywane głowy albo leżeli na wozach, ale po większej części mieli rogatę czapeczki, barankiem lub innem futerkiem oblamowane. Na razie nie mógł Bohdan zwrócić na siebie uwagi jeźdźców, choć wołał i ręce wyciągał, ale później musiał go poznać któryś z towarzyszków chorągwi pana oboźnego, bo skinął głową przyjaźnie i coś nawet zawołał, czego chłopak dosłyszeć nie mógł. Chciał zaraz biec do miasteczka, ale Horpyna go powstrzymywała, przekładając, że przecież wojsko tu nocować będzie; teraz wszyscy znużeni i pora spóźniona, lepiej więc jutro po dniu dowiedzieć się i rozmówić.

Nazajutrz, skoro świt, Bohdan już był na nogach i sposobił się iść do pana Stempkowskiego, wyczyściwszy bekieszkę, jak mógł najlepiej. Chciał koniecznie iść z drugimi, zgłosiwszy się o pozwolenie do matki, będącej, jak sądził, w klasztorze Panien Wizytek, ale wprzód jeszcze pragnął gorąco dowiedzieć się, czy gdzie nie znaleziono Hańdzi z Motruną. Sił jeszcze nie odzyskał zupełnie, ale ręka się mu wygoiła i czuł, że nie może na miejscu dłużej usiedzieć.

Zabierał się właśnie do wyjścia, gdy u wrót stanął chłopaczek młody, i pokłoniwszy się, powiedział, że go pan oboźny przysyła po młodego panicza, co go to kiedyś spisami pokłuli. Ucieszony Bohdan natychmiast się z nim wybrał, pożegnawszy uprzejmie Horpynę,

która niespokojnie za nim patrzyła. W drodze dowiedział się od Kozaczka, że pan oboźny śpi jeszcze, tylko wczoraj rozkazał był, raniutko sprowadzić panicza; o Szeleście posłyszał także, iż ten odprowadza konwój z więźniami do Żytomierza, gdzie ich sądzić miano. Trzeba wiedzieć, że w Żytomierzu zasiadała komisja do sądzenia spraw, z zaburzenia wynikłych; na jej czele był Dubrawski, człowiek drobny, chudy, a tak na pozór wątłej budowy, że pasa litego udźwignąć nie mógł i z tego powodu szabli przy boku nie nosił; opasywał się więc rzemieniem o srebrnej klamrze i wieszał na nim mały pugalik. A jednak był to mąż wielkiej odwagi i kiedy szlachta na wieść o zaburzeniach głowy potraciła, Dubrawski jej nie stracił, ale po dawnemu, jak owi rotmistrze z XVII wieku, rzucił się w ogień i przytłumił go w swojej okolicy.

Teraz jednak, wracając do Koszowatej, widzimy Bohdana wśród pokrytej kurzem ulicy miasteczka. Zwróciła najprzód uwagę jego duża szopa, wokoło której wartowało kilku żołnierzy, a na progu siedział mężczyzna, smutnie jakoś zadumany, w rogatej czapeczce na głowie. Bohdan żwawo posunął się ku szopie. Żołnierze puścili go z łatwością, zwłaszcza, że przy nim widzieli Kozaczka pana Stempkowskiego, a chłopczyzna, zbliżając się do smutnego szlachcica na progu siedzącego, pozdrowił go słowem: „Niech będzie pochwalony!“.

Jeszcze nie miał czasu o nic go zapytać, gdy z szopy wyszedł inny, siwiejący już mężczyzna, z twarzą zalępną dużym plastrem, który mu oko jedno przykry-

wał; stanął, przysłonił ręką drugie oko, od złocistych promieni porannego słońca i zawołał:

— Bohdan! co ty tu robisz?

Chłopiec stanął, jak wryty i nagle z głośnym okrzykiem rzucił się na starego, całując jego ręce. Poznał bowiem pana Krzysztofa Roguskiego, ojca swego chrzestnego, który w zimie jeszcze z ojcem jego odjechał. Dopierożto się zaczęła rozmowa, zapytania, odpowiedzi z jednej i z drugiej strony i dowiedział się w końcu Bohdan, że Bar wzięty został przez wojska królewskie z innymi sprzymierzonymi, że pan Stempkowski tam dowodził, że 400 ludzi zginęło a jeńców wzięto więcej jeszcze. Między innymi, był i brat pana oboźnego, szambelan Jan Stempkowski, który miał potem ostrą rozmowę z bratem; niewiadomo, o czym tam z sobą gadali, dość, że obaj wyszli z chmurnem obliczem, a pan Jan pod strażą z innymi więźniami dalej był prowadzony. Bohdan z bijącym sercem pytał o ojca, z którym pan Roguski ciągle się razem trzymał, i odechnął też wolniej, gdy się dowiedział, że pan rotmistrz, lekko ranny tylko, cofnął się wraz z innymi w Stepy bessarabskie. Pan rotmistrz kilka razy przysyłał listy do Koralówki, zalecając, żeby żona z dziećmi do Kamieńca zawczasu jechała, ale pisma te w czasie zawieruchy przepaść gdzieś musiały, gdyż Bohdan dobrze wiedział, że nie doszły; nieraz widział matkę płaczącą, w niepokoju o ojca, wyczekującą wieści. Roguski ze swej strony wypytywał Bohdana, kiedy i jak się rozstał z matką i dziwnie się jakoś zafrasował, gdy mu chłopiec wszystko opowiedział.

— Więc sądzisz, że matka bez was z domu wyjechała? — zapytał.

— Mnie samemu to się dziwnem wydaje — szepnął Bohdan — ale Motruna twierdziła, że mateczka jej poleciła nas tam doprowadzić.

Pokreślił głową Roguski i frasował się wraz z Bohdanem, że teraz o Hańdzi i Motrunie nic się dowiedzieć nie można było.

— Ja jestem więźniem — mówił Roguski — i kroku zrobić nie mogę, a ty, sam rzucony na świecie, coś poczniesz, nieboże?

— Otóż właśnie, że teraz srodze zakłopotany — odparł Bohdan. Ciągłe sobie układałem, że uproszę pana oboźnego, żeby mnie z sobą wziął do chorągwi, jak tylko od mateczki dostanę pozwolenie, ale teraz, kiedy wiem, że pan Stempkowski wojował z ojcem i naszych wziął do niewoli, straciłem serce do niego i wolę sam iść w świat boso i bez kawałka chleba, póki Haneczki z Motruną nie znajdę i do mateczki się nie dostanę...

— To powiedzieć łatwo, mój chłopcze, ale wykonać trudno.

Dopiero się teraz dowiedział Bohdan o straszliwych gwałtach, jakich się w wielu miejscach dopuszczono, o czym słuchając, tem większą czuł trwogę o Hańdzię i chciał w tej chwili biec jej szukać, ale go znów wstrzymał Roguski.

— Cóż zrobisz sam, taki młody i bezsilny po chorobie? Niema innej rady, tylko teraz, kiedy rodziców los rzucił daleko i z przyjaciół niema nikogo, idź do pana oboźnego i z jego pomocą, staraj się do Kamieńca

dostać. Nic ci innego poradzić nie mogę, tylko, co bądź się stanie, pamiętaj chłopcze, gdzie jest twój ojciec i czego od ciebie żądać ma prawo.

— Ach, panie! — zawołał Bohdan — czyżbym nie mógł trafić do ojca? Poszedłbym o suchym chlebie, mógłbym się zdać tam na co, choćby konie siodłać, jeżeli czego innego nie potrafię; przecieżby mnie ojciec nie wypędził.

— To niepodobna, mój kochany. Ja sam ci wskazać nie mogę, gdziebyś ojca znalazł napewno. Oni, biedacy, z miejsca na miejsce się przenoszą i niewiadomo, gdzie zgromadzić się im każą. Zresztą, zginąłbyś w drodze, pośród snujących się wojsk, na szerokim stepie.

Bohdan nie wiedział już co mówić, stał smutny i zafrasowany srodze, a tu Kozaczek dawał mu znaki, żeby odszedł, bo już słońce wysoko na niebie. Chłopiec, ze łzą w oku, ucałował ręce Roguskiego, który go pobłogosławił i po ojcowsku do serca przycisnął. Już miał odejść, gdy stary go jeszcze przywołał i zdejmując z piersi ryngraf z Matką Boską, zawiesił mu go na szyi, mówiąc:

— Niech cię ta Święta Królowa broni, od wszelkiego niebezpieczeństwa, jak mnie broniła, czego dowodzi znak kuli, którą zatrzymała blacha ryngrafu, i niech w sercu twojem chroni uczucie pocziwe!

Wzruszony i uszczęśliwiony, przycisnął Bohdan do piersi skarb swój, i z lepszą już otuchą szedł dalej, przysięgając sobie w duchu, że się musi stać godnym zacnego ojca swego i jego towarzyszy.

V.

Święty Onufry. — Starzec. — Zguba. — Odkrycie.

Hańdzia z Motruną znalazły się same na szerokim stepie; dziewczynka, wypawszy się i posiliwszy we młynie, teraz żwawo szła naprzód, trzymając się ręki starej piastunki, która w ciężkiej trosce i frasunku, znużona bezsennością i niepokojem, dobywała jednak sił wszelkich, żeby jak najdalej odejść od wioski. Szły tak może ze dwie godziny, gdy ucha ich doleciały śpiewy i krzyki, zbliżające się ciągle.

— To rabusie — pomyślała stara i przytulając do siebie Hańdzię, obejrzała się trwożnie dookoła.

Na lewo przed niemi trochę, żółcił się zdaleka łan wysokiej, bujnej pszenicy ukraińskiej, co to w niej męczyzna z głową skryć się może. Niewiele myśląc, Motruna z Hańdzią pobiegła do łanu, i po chwili obie zanurzyły się w złociste zboże, które rozdzielone na chwilę, jak owe fale wokoło wojska Faraona egipskiego, zamknęło się nad niemi i ukryło biedne wędrowniczki, co się do ziemi przytuliły, jak spłoszone prze-

piórki. Hańdzia garnęła do siebie białego gołąbka, z którym się przez cały ten czas tułaczki i niepokojów nie rozstawiała ani na chwilę.

Tymczasem gromada nadciągnęła: słyhać było wyraźnie ich rozmowy, kłatwy i dzikie piosenki; Hańdzia drżała, tuląc główkę do swej piastunki i modląc się po cichu do Matki Najświętszej. A niebezpieczeństwo było wielkie: rabusie, skuszeni widokiem pięknego zboża, zatrzymali się, żeby napaść konie, których kilka mieli z sobą, choć większa część gromady szła pieszo, zataczając się i potykając. Biedne wędrowniczki nasze słyszały stąpanie koni, zbliżających się do nich i bojąc się odetchnąć, siedziały nieruchome, przyciśnięte do siebie. Lada chwila mogli rabusie je zobaczyć; pszenica, tłoczona kopytami, kładła się na ziemi, otwierając tym sposobem szerokie ścieżki, przez które wszystko dojrzeć można było.

Tak przeszło może pół godziny, które wydawały się wiekiem Motrunie, wreszcie zaczęto nawoływać konie, te jednak nieprzyzwyczajone do głosu nowych panów, zamiast wracać, rozbiegły się po łanie. Rozpoczęła się więc gonitwa, bicie, kłatwy i krzyki straszliwe! Jeden z koni prosto pędził w stronę, gdzie przykucnęły nasze zbiegi — już, już zdawało się, że je roztratuje, gdy nagle... stanął, parsknął i pomknął w przeciwną stronę.

Jak tam sobie dano radę — niewiadomo, dość, że powoli krzyki słabnąć zaczęły, i cała gromada w step się oddaliła.

Słyhać jednak było chrapanie dziwne jakieś opo-

dal: Motruna, rozgarniając kłosa, wychyliła ostrożnie głowę i zobaczyła konia, którego w złości rabusie cepami pobili tak, że ledwie dyszał.

— Biedny koń! — szepnęła Hańdzia — chodźmy do niego, może go poratujemy — ale nim jeszcze mówić skończyła, biedne zwierzę żyć przestało.

— Patrz, patrz, nianiu, to ten sam konik siwy, co nas nie chciał potratować, biedny! — i Hańdzia zalała się łzami.

— Daj pokój, dziecino! Nie płacz, chwała Bogu, że nas tak nie pozabijali; uciekajmy teraz, może gdzie wreszcie znajdziemy schronienie.

A trzeba im było spocząć i pokrzepić się trochę: Hańdzi nóżki, podrapane i pokaleczone, nie pozwalały już iść tak prędko jak z początku, a w dodatku, bojąc się wysuwać na step goły, Motruna prowadziła ją między zbożem, rozgarniając, jak mogła, bujną słomę, żeby nie kaleczyła dziewczeczki. Hańdzia, choć zmęczona i wystraszona, nie mogła wytrzymać, żeby nie zrywać bławatków, których mnóstwo w pszenicy rosło, i wtykała je jak mogła, w kapelusz swój słomiany, za krawkę u pasa, a nawet w zanadrze, gdzie już siedział gołąbek.

— Oj, dziecino! — mówiła Motruna — a jednak nie mogła się wstrzymać, żeby nie uśmiechnąć się, widząc, jak dziecko, dopiero wylękłe i rozplakane, teraz znów gotowe bawić się kwiatkami.

— Czy my znajdziemy prędko Bohdana? — pytała znów dziewczynka — przecie go Bóg uratuje, tak jak i nas — prawda, nianiu?

— Daj Boże, daj Boże! — odpowiedziała piastunka — ale ją samą okropny dręczył niepokój.

I szły tak obie, gdzie oczy poniosą, a zamiast pszenicznego łąnu na stepie, widniał zielony basztan*) z szerokimi liśćmi kawona. Wioski nie dojrzały nigdzie, ale wśród stepu zaczynał się jar, obrosły drzewami. Z ziemi, jakby rozprutej nagle, tryskał źródź żywej wody, płynący z pieczary brzostem ocienionej. Motruna weszła tam, ale Hańdzia krzyknęła i zatrzymała się przerażona; w pieczarze bowiem klęczał starzec z brodą długą za kolana, żółty, mchem obrosły. Dziewczynka utkwiała weń oczy, i nie śmiała już ani kroku postąpić, ale Motruna przeżegnawszy się i uderzywszy pokłon do ziemi, ozwała się:

— Nie bój się, dziecko moje, to figura, ot, lepiej napij się czystej wody krynicznej, od Świętego Onufrego, to ci na zdrowie będzie i na błogosławieństwo.

Trzeba wiedzieć, że według podania miejscowego ludu, Święty Onufry Pustelnik, który miał w Egipcie przeżyć lat 60 na modlitwie i w takim ubóstwie, że mu tylko broda ogromna za odzienie służyła, jest czczony, jako patron czystych źródeł, często też dawniej spotkać można było posagi jego, po pieczarach i monasterach. Hańdzia, ciągle jeszcze z niejaką nieufnością spoglądając na Świętego, przeżegnała się i nie odwracając oczu od tej klęczącej postaci, zaczerpnęła ręką wody z kryniczki i napiła się jej kilkakrotnie.

*) Zorany na stepie ziemi kawał, na którym się sieje kawony, melony, kukurydzę lub ogórki.

Motruna nie omieszkła także pokrzepić się u Świętego źródła, potem wyszły obie, kierując się do wnętrza jaru, który się rozszerzał przed ich oczami, odsłaniając rozkoszny futór z bieluchnym dworkiem, wśród gaju czeremchowego. Drzewa kwitły jeszcze, woń miłą rozlewając, dalej wśród krzaków kaliny, kryła się pasieka, a strumyk z pieczary Świętego Onufrego, płynąc coraz dalej, gubił się w małym stawku, co się srebrzył jak zwierciadło, odbijające drzew wierzchołki. Był tam i dąb wyniosły, a pod nim ławeczka z darńiny i brzoźka o białej korze, a taki świeżutki powiew załatywał, że aż się miło robiło i rzeźwiej na sercu.

— Otóż nas Św. Onufry zaprowadził — rzekła Motruna — tu nas pewno dobrzy ludzie przyjmą i przygarną, i skierowała się wprost do dworku. A miało się już ku wieczorowi, chociaż słońce świeciło na widnokręgu, wyzierając czerwonym blaskiem z za kalin i pasieki. Nagle pies mocno zaszczekał, a na ten odgłos ukazał się z pomiędzy ulów wysoki, o siwych włosach starzec z długą brodą, co mu, jak Św. Onufremu, do pasa prawie spływała. Przysłonił oczy ręką i długo się wpatrywał w przychodniów, zdziwiony snąć, czego tu szukać chcieli. Motruna, trzymając dziecko za rękę, zbliżyła się i kłaniając, przemówiła:

— Niech będzie pochwalony!

— A skądto, skąd Bóg prowadzi? — zapytał starzec, odwołując psa, który rzucił się na wędrowców, ale potem jakby zawstydzony, ogon spuściwszy, wrócił do pana swego.

— Zdaleka, wielmożny panie — ozwała się piastunka — uciekam przed hajdamakami z tą oto dzieciną, którą w proste suknie przebrać musiałam dla niepoznaki. Pozwólcie nam miłościwie tu spocząć, bo już nie wiemy, gdzie się nam podziać biednym sierotom...

— Chodźcież! chodźcież w Imię Boże — rzekł sędziwy gospodarz. — Do mnie tu hajdamaki, jak ich tam nazywacie, nie zaglądają, bo łupu wiedzą, że nie znajdują, ale wszędzie wokół podobno palą i plądrują haniebnie. Ja tu sam, stary, ale czem chata bogata, tem rada — proszę za mną!...

I szedł starzec przodem, a za nim Motruna z dzieckiem. W sieni leżał znów pies ogromny i groźnie zawarczał, ale gdy pan krzyknął: „Obał, do nogi!” przypadł do ziemi i przyczołgał się do nóg pańskich.

W izbie, na prawo, skromnie było, lecz czyściutko: stół dębowy, ława kilimkiem przykryta i w kącie sepecik, misternie okuty, na ścianach trochę oreża a przez drzwi otwarte, widać było alkierzyk i łożo wąskie, niedźwiedzią skórą zasłane; nad niem Matka Boska Berdyczowska z palmą święconą i gromnicą, za obraz zatkniętą, a poniżej karabela w jaszczur oprawna.

— Spocznijcie — rzekł starzec, wskazując na ławę, a sam wyszedł przed sień: po chwili ukazał się równie podeszły w wieku, stary sługa, i postawił przed podróżnemi dzbanek z miodem, dwa kubki i chleba bochenek, z nożem składanym w oprawie rogowej.

Motruna naląła Hańdzi i sobie, ukroiła chleba, a tymczasem wrócił gospodarz i usiadłszy z boku na ławie, przyglądał się gościom swoim w milczeniu. Gdy już trochę podjedli, ozwał się do Motruny:

— Coś ten wasz chłopak pieszczony być musi, bo ręce ma, jakby panienska i czoło białe, jak kość słoniowa. Gdzieżto go chowacie, na księdza, czy co?

— Oj! dużoby to mówić, proszę jegomości: nie moje to i... prawdę rzekłszy — nie chłopczyk, tylkośmy się tak przebrali, dla niepoznaki.

I dopiero jąla rozpowiadać staruszką, jak nocą musieli z Koralówki uciekać, jak się kryli po norach i pieczarach, i błakali się długo. Zataiła tylko śmierć swojej pani ukochanej; gdy zaś przyszło jej wspomnieć o Bohdanie, wybuchła rzewnym płaczem. Staruszek słuchał, nic nie mówiąc, zamyślił się posepnie i zadumał, zapatrzonej przed siebie, a na czoło mu wystąpiła gruba zmarszczka, jak gdyby bolesne jakieś wspomnienie ją wycisnęło. W tej chwili wypadła mu z ręki tabakierka, o której śnać zapomniął, a Hańdzia podbiegła i podając ją starcowi, spojrzała nań dużemi szafirowemi oczami. On położył rękę na jej główce i wpatrując się w twarzyczkę uśmiechniętą, rzekł:

— Bóg zapłać, dziecko, a jakże ci na imię?

— Anulka, proszę jegomości!

— Anulka, Hańdzia — powtórzył — ciągle patrząc na nią, jak gdyby się dziwił. I takie oczy szafirowe... no, żal się Boże! ale przecież niejedną dziewczeczkę u nas Hańdzią nazywają... Nic dziwnego... —

powtarzał, jak gdyby w zamyśleniu, sam do siebie mówiąc.

— A gdzie rodzice twoi? — pytał dalej.

— Ojczunio dawno już do Baru pojechał, a mateczka... nie wiem... I tu dziewczynka zalała się łzami.

Motruna skinęła na gospodarza, żeby więcej nie pytał, a sama powstając z ławy, skłoniła się nisko, dziękując za gościnność i posiłek.

— Ależ zostańcie, rozgośćcie się w mojej chacie tymczasem — mówił staruszek — potem uradzimy, co dalej robić. Maciej wam pościele świeżego siana w izdebce naprzeciwnie, spoczniecie, a jutro pogadamy.

Właśnie słońce zaszło było i na podwórku ozwał się dzwonek, bo stary Maciej wzywał na Anioł Pański; ukląkł sędziwy gospodarz, za nim dziewczka i piastunka stara i kornie schylając głowy, odmawiali Modlitwę wieczorną. Potem Motruna, pokłoniwszy się znowu, odprowadziła panienkę swoją do izdebki, gdzie ucałowałszy ją i rozebrawszy z sukmany, ułożyła wygodnie na skromnem posłaniu, sama zaś wysunęła się jeszcze z izby.

Na podwórku, przed domem, stał stary szlachcic i patrzył w niebo, gdzie się ukazywać zaczynały blade jeszcze gwiazdki; Motruna zbliżyła się cicho i czekała, nie śmiąc przerywać milczenia, ale widocznie pragnęła coś jeszcze powiedzieć panu. Staruszek obrócił się, a spostrzegłszy ją, spytał:

— Cóżto, żal się Boże, może wam czego brakuje? Powiedzcie! Może dziecku jaka niewygoda?

— Oj, nie, jegomościuniu, śpi już moje biedactwo, ja tylko chciałam coś powiedzieć; może mi jegomość poradzą, jeśli łaska, bo mu taka dobroć z oczu patrzy, że człowiekowi aż śmieiej się robi...

— Mówcie, mówcie, kobieto, żal się Boże, co wam na sercu leży.

Tu Motruna zaczęła opowiadać, jak to w nocy, ze dworu w Koralówce z dziećmi uciekać musiała, jak potem zastała swą biedną panią nieżywą, jak to przed dziećmi ukrywała i tak dalej.

— I nie macie tu żadnych krewnych w pobliżu? — pytał gospodarz — jakże pani wasza była z domu?

— Otóż tego nikt nie wie, proszę jegomości, dziwna to była historia.

— Siadajcie tu na ławce — przerwał szlachcic — i rozpowiedzcie mi, jak to było.

— Otóż, proszę jegomości, pan nasz, com go od maleńkości wypiastrowała na rękach moich, dobry był jak anioł, tylko krwi strasznie gorącej; miał po rodzicach wieś Koralówkę nad Bohem i stamtąd razu jednego, że to był ciekawy wszystkiego, wybrał się na Krym, za kupnem koni. Bawił długo, zaś za powrotem przywiózł z sobą piękne konie tureckie i bakalie rozmaite, ale prócz tego owiniętą w szale i zasłony śliczną dziewczkę, którą był od Tatarów wykupił. Porwali ją oni gdzieś w naszych stronach, a biedactwo, żyjąc lat kilka na Krymie, gdzie też ciężko chorowała, zapomniała skąd i jak się tam wzięła; jedno tylko wie-

działa, że na nią dawniej Hańdzia wołali, a Tatarzy ją po swojemu *Hani* przewali...

Tu starzec nagle zerwał się z ławy i chwytając ręce Motruny, drżącym głosem zapytał:

— Kiedy to było? powiedzcie, a dziewczeczkę zwali Hańdzią, mówicie?

— Będzie temu, jegomościuniu, lat piętnaście z okładem, a panienka miała wtedy może piętnasty roczek także, a śliczną była, jak nieprzymierzając nasza mała Hanulka, tylko, że to biedactwo teraz zmęczone i opalone straszliwie, a tamtę Tatarki od słońca chroniły i pono w mleku kąpały, żeby wypiękniała, bo ją do Carogrodu sprzedać chciano. Toteż pan nasz wielki miał kłopot, nim tam z nimi targu dobił i dziewczeczkę z sobą przywiózł, bo mu się niezmiernie podobiała i za serce go chwyciła. Dopiero ją oddał do klasztoru Panien Wizytek w Kamieńcu, gdzie teraz siostra jego już jest Ksienią, a we dwa lata ożenił się z nią i do Korałówki przywiózł. Słodkież to było niebożátko i drobne, jakby dziecina; nieraz każe sobie dumki nasze śpiewać, słucha i płacze, jakby sobie coś przypominała. Zdawało jej się, że to kiedyś słyszała dawniej i chciała przypomnieć, aż główkę rękami ścisnęła, ale nie mogła; wiedziała tylko, że ją w nocy porwali i wieźli gdzieś, daleko, daleko...

— I nic... nic więcej, pani wasza nie pamiętała?

— Nie pamiętała nawet matki rodzonej, tylko kiedy pan nosił i całował synka, małego Bohdana, rozplakała się i mówiła: pamiętam, mnie tak kiedyś ojciec nosił i pieścił.

— Słuchajcie, kobieto dobra, a nie widzieliście u pani waszej jakiego znaczka na czole?

— A jakże, jegomościuniu, pani miała z lewej strony na skroni, blisko oka, wążutką pręgę czerwona jak krew, jakby od przecięcia bliznę.

— Boże wielki! — zawołał starzec i padł na kolana: — Boże wielki, dzięki Tobie, żeś sługę twego pocieszył! Niech Imię Twoje Święte będzie pochwalone. I złożył ręce, a po sędziwej twarzy jego dwie grube łzy spływały. Motruna stała zdziwiona, nie wiedząc, co to ma znaczyć, ale starzec, pomodliwszy się, wstał i siadając, wziął rękę wieśniaczki i ozwał się w te słowa:

— Dziwne są Boże sądy i wyroki! — Słuchajcie, poczcziwa kobieto... Lat temu dwadzieścia i dwa, musiałem wyjechać z domu i zostawić córkę jedynaczkę, co mi po żonie nieboszczce została, Hanulkę moją słodką, kwiateczek mój złoty, com ją strzegł, jak oka w głowie. Wróciłem i zastałem dwór spalony, słudzy pomordowani — dziecku ani śladu, w ogrodzie tylko węzełek z przyodziewkiem mego dziecięcia. Com się naszukał, naśledził, i wszystko napróżno. Dzieweczka, maleńką będąc, upadła i żal się Boże, przecięła sobie skroń o żelazo przy progu, aż się krwią zalała. Cośmy ją też z Maciejem nosili, cucili, wodą skrapiali, maścią okładali, aż się ranka zgoiła i tylko od krwi upływu, bladeść na twarzyczce została, że jak biały kwiatuшек, wyglądała dziecina moja. I wy mówicie, że pani wasza miała taki znak na skroni?

— A jakże, jegomościuniu! Nieraz się temu przy-

patrywaliśmy z panem, ale ona nie wiedziała, niebo-
żatko, jak się to stało. Cudowny mój Boże! To nasza
pani miała być córeczką jegomości? To już chyba
Święci Pańscy nas tu sprowadzili do dziadunia na-
szych dzieci...

I stara rozplakała się, ręce składając, jak do mo-
dlitwy.

— Niezbadane są wyroki Boże — mówił szlach-
cie — tyłem lat spędził w ciężkiej żałości, co mi jak
kamień serce tłoczyła, żal się, Boże! Teraz wiem, że
moja Hanulka nie żyje, a jednak dusza moja pocie-
szona. Dzięki Ci, Boże, dzięki za wszystko! Kiedy na
mnie ta dziecina spojrzała, swemi wielkimi, szafiro-
wemi oczkami, dziwnie mi się koło serca jakoś zro-
biło i nie mogłem od niej oderwać spojrzenia. Chodź-
my do dziecka, chodźmy! Niech się stare oczy moje
nacieszą widokiem wnuczki.

Tymczasem nadszedł i stary Maciej, nieodstępny
towarzysz pana swego, od lat wielu; trzeba więc było
i jemu wszystko opowiedzieć; stary dziwował się i pła-
kał z nimi razem, a potem wszystko troje weszli ci-
chutko do izdebki, gdzie spała Hańdzia, niczego się
nie domyślając. Rączkę zarzuciła na główkę, a rumia-
na jej twarzyczka uśmiechała się we śnie. Dziadek
ukłakł i wznosząc ręce, błogosławił tę zesłaną mu, jak
gdyby z Nieba wnuczkę, która mu wracała ową stra-
coną pieczętotkę z lat dawnych, ukochaną Hanulkę.
Potem jeszcze mówili o Bohdanie, i pan Onufry Świ-
derski, tak się bowiem zwał sędziwy gospodarz, po-

stanowił wybrać się na poszukiwanie wnuka niezna-
nego, zaraz nazajutrz.

Tymczasem późna już była godzina; w dużej
izbie spaliło się kilka węzłów na sznurze, który za-
miast zegara służył, pokazując, że już było po półno-
cy, kiedy się wszyscy rozeszli na spoczynek. Sędziwy
gospodarz długo jeszcze klęczał na modlitwie przed
obrazem Bogarodzicy i bił się w piersi i wzrok pod-
nosił ku niebu, jak gdyby tam szukał swojej Hanulki
u stóp Najwyższego.

Motruna znużona usnęła twardo i rankiem do-
piero przebudziła się, gdy już słońce świeciło jasno.
I Hańdzia już nie spała, a pokrzepiona snem, szczebio-
tać zaczęła wesoło i cieszyć się gołąbkami, który dzio-
bał kłoski, tu i ówdzie rozrzucone. Pan Onufry, który
już od świtu był na nogach, bo mu wzruszenie spać
nie dało, przywołał do siebie Motrunę i zaprowadziw-
szy ją do alkierza, w te odezwał się słowa:

— Widzicie, nianiu pocziwa, tu leżą szaty mo-
jej jedynaczki, jak się przechowały przez lat dwadzie-
ścia, żal się Boże! na pamiątkę ojcu stroskanemu; weź-
cie je teraz i ubierzcie wnuczkę moją, a potem jej po-
wiemy o wszystkim.

— Proszę jegomości, a jakże temu biedactwu po-
wiedzieć, że jej matunia nie żyje? Ona ciągle pyta,
czy prędko do Kamieńca zajdziemy i we śnie nawet
matki woła. Jak jej to powiedzieć?

— Biedna dziecina — powtórzył dziadunio —
a trzeba jej wręcz powiedzieć o tem nieszczęściu, mo-

że się trochę pocieszy przy dziadku, biedactwo! Ale przyprowadźcie ją do mnie jak najprędzej.

Piastunka umyła i wyczesła swoją gołąbkę, ubolewając tylko, że kosy śliczne zostały tam gdzieś w pieczarze Orłyci, potem zaczęła ją ubierać w białą koszulkę i sukienki, które dostała od dziadka: znalazł się kubraczek szafirowy z białym puszkciem, w którym ślicznie było dziewczecze, a zapiał się, jak gdyby na nią robiony. Dziwiła się Hańdzia, skąd to się wszystko wzięło, ale Motruna, nie chcąc odrazu opowiadać całej historii, odrzekła, że to mateczka zdaleka przysłała dla dziecka.

— A kiedyż my nareszcie do mateczki dojdziemy? — skarżyła się Hańdzia — mnie już tak smutno. Poproszę dobrego tego dziadunia, on nas pewno do mamy odeśle i Bohdana wyszuka, prawda, nianiu?

— Oj, nieprędko my, nieprędko, do mateńki dojdziemy, dziecino moja, bo ona bardzo daleko. Trzeba do Boga się modlić, żeby jej się nic złego nie działo, a tymczasem naszego Bohdana szukać na stepach.

Zasmuciło się dziewczę i główkę spuściło, a duże łzy błysnęły w jej oczkach, gdy trzymając Motrunę za rękę, wychodziła z izdebki.

Na ganku już stał pan Onufry, który dziewczkę podniósł w ramionach i przycisnąwszy jej główkę do piersi, całował, nie mówiąc i słowa z początku.

Jak się Hańdzia dowiedziała, że ma dziadunia rodzonego, że mateńka już jest u Boga i pewno na nich z góry patrzy i uśmiecha się, że jej już żadne troski nie dosięgną, jak rzewnie płakała i utulić się długo nie

mogła, jak się potem garnęła do dziadunia i błagała, żeby jej Bohdana odnalazł, tego wszystkiego opowiadać nie będziemy; dość, że dziadunio wyprawił tymczasem zaufanego chłopaka na zwiady, zanim sam będzie mógł wyruszyć na poszukiwanie wnuka.

VI.

Gość. — Obłężenie.

Było już po południu godzin parę, kiedy na stepie, pod futorem, zabrzmiała pieśń wojskowa *) i niebawem u wrót ukazał się oddział zbrojny. Przodem jechał dowódca z jednym wąsem lnianym a drugim ciemnym i widząc gospodarza, wychodzącego przed ganek na powitanie gości, podjechał ku niemu i pozdrawiając po rycersku, ozwał się:

— Nie mogłem ominąć siedziby starego druha mego ś. p. ojca, żeby waszeci się nie pokłonić, panie poruczniku, i nie przypomnieć łaskawej pamięci.

— A! pan oboźny Stempkowski! czołem! czołem! — odrzekł pan Onufry, kłaniając się uprzejmie. — Ale zsiadajże waszec z konia i ludziom pozwól spocząć. Miło mi w progach moich niskich ugościć

*) Był zwyczaj we wszystkich chorągwiach od wieków, iż z pośród towarzyszy dobierano śpiewaków, którzy na czele jadąc, śpiewali pobożne i światowe pieśni.

syna pana kasztelana Żarnowskiego, mego zacnego druha. Hej Macieju...

I staruszek zajął się przyjęciem gości, a choć się krzątał i zapraszał, znać jednak było, że nie jest rad sercem całem, jakby tego można się było spodziewać.

Niebawem zapytał pana oboźnego o młodszego brata, Jana, a gdy tamten kwaśno jakoś wspomniał o nim, pan Onufry, począł się rozwodzić nad zacnością tego ostatniego.

— Wiadomo waszmości — prawił pan Józef — że brat mój Jan przez dawne stosunki, w jakich zostawaliśmy ze stolnikiem litewskim, a dziś nam miłościwie...

— Miłościwie, jak miłościwie! — mruknął gospodarz.

— I łaskawie panującym — ciągnął gość dalej — królem Stanisławem, przez dawne, mówię, stosunki, otrzymał stopień szambelana i mógł był dalej zaszczytnie pełnić służbę u dworu, bo do wojaczki nigdy nie zdawał się mieć wielkiego animuszu; niechby zresztą był wstąpił do wojsk jego królewskiej mości, ale porzucił stolicę i mówię waszmości, kopnął się w stopy i przepadł bez wieści.

— To pewna, że do łupieżców nie przystał — rzekł z uśmiechem pan Onufry i miał coś mówić dalej, gdy nagle pan Stempkowski przez okno wyjrzawszy, zagadnął :

— A to co za dzierlatka chowa się u waści? Przecież zda mi się, że rodziny waszec nie miałeś od... i urwał nagle.

— Od kiedy — ciągnął gospodarz dalej — od kiedy mi moją jedynaczkę porwano, jak o tem wiedział ojciec waszmości i inni druhowie moi. Otóż dowiedz się waść, że w cudowny prawie sposób dziś niebo mi zesłało wnuczkę po tej właśnie zaginionej córce.

— Co waść mówisz, a to jakim sposobem?

Ale w tej chwili nowy hałas dał się słyszeć, i wpadł na podwórkę ordynans od Ksawerego Braniczkiego, późniejszego hetmana, z wezwaniem do pana oboźnego, żeby natychmiast spieszył ku Humanowi. Rozmowa się przerwała, i tylko pan Stempkowski w krótkich słowach usłyszawszy, że Hańdzia niema już matki, zobowiązał pana Onufrego, że ten wnuczkę tymczasowo powierzy opiece pani Franciszki, żony jego, która obecnie w Żytomierzu przebywając, dzieweczkę macierzyńską otoczy troskliwością.

— Miło nam będzie — powtórzył na wsiadaniem już pan oboźny — choć w taki sposób okazać szacunek, jaki mam dla zacnego druha pana kasztelana, a ś. p. ojca mego.

Nie przyrzekał nic stanowczego pan Onufry, dziękował jednak za uczynioną sobie propozycję.

Nad wieczorem, powrócił wysłany chłopak i opowiadał o strasznych spustoszeniach, jakie wszędzie w okolicy zrzadzili hajdamacy, o bitwie, w której pan oboźny rozpedził bandytów; resztki ich podobno kryją się gdzieś niedaleko, o Bohdanie tylko nic się dowiedzieć nie mógł. Słuchał tego wszystkiego z chmurą obliczem pan Onufry i postanowił niezwłocznie

puścić się na odszukanie wnuka, a tymczasem pieścił i tulił Hańdzię, która się doń garnęła z płaczem.

Na noc pościelono jej i Motrunie w wielkiej izbie na prawo, gdzie stary Maciej pozosił wilcze i niedźwiedzie skóry na wygodne postanie dla kochanej panienki. Gołąbek, nakarmiony grochem i kukurydzą, usnął smacznie, kryjąc główkę pod skrzydełka, a spłakana pani jego także we śnie zapomniała o swym żalu.

Okolo północy psy straszliwie ujadać zaczęły, a pan Onufry, który miał sen czujny, zerwał się i narzuciwszy jakiś przyodziewek, wyszedł na podwórkę; tu spotkał się z Maciejem, już także rozbudzonym, i obaj usłyszeli hałas jakiś niezwykle na stepie.

— Co to być może? — pytał stary sługa zaniepokojony. — Gdybym nie wiedział, że ci opoje mają respekt dla jegomości, sądziłbym...

Tu przerwał, bo krzyki coraz wyraźniejsze, zapowiadały zbliżanie się gromady ludzi.

— A to łotry! Już się do gniazda starego sępa dobierają, przyjmujemy ich, jak należy, tylko mi żal dziewczątka, żeby się strzałów nie przelekło. Skocz żwawo, Macieju, po rusznicę, wołaj Pawlusia, i znieście wszystką broń jaka jest. Damy im od bramy takie przywitanie, jakiego jeszcze pewno nie mieli.

I sam pan porucznik z żywością młodzieńczą zakrztał się około broni i ładunków, uprzedziwszy przedtem Motrunę, żeby nad Hańdzią czuwała, nic się nie bojąc.

— Chryste Panie! — szeptała wystraszona sta-

ruszka — i tu nas znajdą ci niegodziwcy, i moją gołąbkę wystraszą! Boże! zmiłuj się nad nami!

Noc była ciemna, bo chmury zaciągnęły niebo, ale po krzykach znać było, że gromada zbliża się; pan porucznik kazał zapalić parę smolnych pochodni i przez okienko, w szczelnie zamkniętej furtce, spojrzeć na pole. Jar zappełnił się ludźmi, którzy po swojemu, to jest z pijanymi krzykami i przekleństwami walił się ku dworowi. Niewiele ich jednak było, może ze dwudziestu; musiały to być niedobitki z gromady przez pana Stempkowskiego rozpedzonej.

— Damy im radę — mruknął pan porucznik, i naprędce wydał rozporządzenia; Pawluś miał tylko nabijać strzelby i podawać je panu i Maciejowi, którzy stanęli przy furtce w okienku. Brama była wysoka i broniona częstokołem, który z jednej strony przypierał do skały, z drugiej łączył się z pasieką, także płotem otoczoną. Od frontu więc tylko mieli otwartą drogę rabusie, a nie przywykli do silnego odporu, śmiało walił się naprzód.

Ale padł strzał jeden i drugi, i już dwóch leżało na ziemi; dzikie wycie dało się słyszeć między napastnikami, a reszta rzuciła się ku bramie. Psy ujadają wściekle, rwąc się do bramy, którą aż gryzły zębami.

— A gdyby je wypuścić? — rzekł Maciej, mierząc znów przez okienko.

— Poczekaj, stary! — odpowiedział porucznik.

Napastnicy cofnęli się z wrzaskiem, ale nie chcieli dać za wygraną, tylko zmienili taktykę. Widocznie

postanowili zapalić bramę i tak sobie drogę otworzyć; musieli też mieć przy sobie pakuły, czy jakie łuczywo, gdyż po chwili ognisty snop poleciał na częstokoły.

— Dobrze, będzie nam jaśniej! — zawołał pan Onufry, zagrzany zapalem. — Za mną, Macieju, a ty, Pawlusiu, ruszaj do domu i wyprowadź co tchu Motrunę z panienką przez pasiekę do pieczary, wiesz, tam, w zaroślach.

I dzielny starzec, otwierając rygle furtki, puścił psy przodem, a sam z Maciejem, stojąc na wysokim progu, jak zaczął razić z rusznicy nieprzyjaciela, tak się wszystko w kłębek zbiło. Brakło już ładunków, porucznik porwał szablę, Maciej toż samo, zapominając, że obaj już zgórą siedem krzyżyków życia dźwigają. Rąbali też naoslep, psy rzuciły się do gardła napastnikom z wyciem i szczekaniem, na to wszystko ogień rzucał blaski krwawe, bo już częstokół zapłonął. Piekielna wrzawa napełniła powietrze, ptactwo wystraszone wlatywało w górę, ale chwila jeszcze i wszystko ucichło. Pan porucznik wsparł się na mieczu i pogląda wokoło:

— No, Macieju! grackośmy się spisali, mój stary! I psiska poczeiwe dopomogły!

— A w tej chwili właśnie biedny Obal przyczołgał się do nóg pana, skrwawiony, z rozprutym bokiem, zaskomlał, patrząc mu żałośnie w oczy i skonał.

Tymczasem jednak częstokół płonął w najlepsze, i ogień mógł dojść do dworku, trzeba było ratować. Maciej uderzył w dzwon na podwórzu, aby dać znać

o sobie, a po chwili nadbiegł Pawluś z pasieki, wołając do Motruny, że wszystko dobrze. Piastunka z Hańdzą nie zdołały jeszcze dojść do pieczary, więc powróciły; niebawem Motruna zajęła się żwawo czerpaniem wody ze studni do gaszenia pożaru. Wiatru szczęściem nie było, więc w krótkim czasie porąbawszy częstokół w kilku miejscach, ogień ugaszono. Dnieć już zaczynało, kiedy znużona gromadka powróciła do dworku. Zagraj i Sajdak, skomląc, pokładły się przed gankiem, jakby opłakiwały straconego towarzysza. Maciej z Pawlusiem pozostali dla bezpieczeństwa na dworze, bo już i bramy nadpalonej zamknąć nie było można, a pan Onufry choć się położył, jednak zasnąć nie mógł, rozważając, co dalej robić.

— Bóg wie, czy nie powrócą znowu — myślał sobie — zresztą, ręka moja nie taka zdrętwiała, jakem sądził, można jej jeszcze użyć. Dziecka tu trzymać niepodobna, żeby się znów nie nabawiło strachu, żal się Boże! Niema rady, trzeba ją oddać pod opiekę pani Stempkowskiej, zacna to ma być niewiasta, chociaż pan obożny niebardzo mi do smaku przypada. Z rodzicem jego żyłem w przyjaźni, ale syn do niego wcale niepodobny i zanedto jakoś dba o łaskę pańską. Ale żona zacna niewiasta i z dobrego gniazda.

Nazajutrz pan Onufry, nie zwlekając, porobił przygotowania do drogi, żeby swoją wnuczkę odwieźć do Żytomierza. Nie tracił też nadziei, że mu się uda odszukać wnuka. Przybyło starcowi jakoś sił i energii, teraz kiedy czuł, że mógł się na świecie jeszcze przydać, a kiedy mu Hańdza zarzuciła rączki na szy-

ję, prosząc, by jej nie porzucił, to mu i serce żywiej zabiło w piersi.

— Powrócę, kochanko, powrócę, tylko ci bractwisko odnaleźć muszę, a tymczasem postaram się pieszczołkę moją ubezpieczyć, żeby mi jej nie porwało z gniazdka.

VII.

Pan oboźny. — Podróż. — Czapla. — Pan Mohort. —
Niespodzianka.

Kiedy Bohdan wprowadzony został do kwatery pana Stempkowskiego, pan oboźny siedział przy stole, zasłanym kobiercem wzorzystym, a przed nim omszała butelka i puhar złocisty dowodziły, że się pokrzepiał od rana. Nie znać też na nim było trudów wojennych; wyglądał czerstwo i rumiano, a uśmiechnięta twarz jego nie wskazywała, żeby się miał oddawać jakim zgryzotom. Szczęście bo też a raczej, po staremu mówiąc, *fortuna* sprzyjała panu Stempkowskiemu; umiał się starać o fawory królewskie i w czasach, kiedy inni mienie i życie nieśli w ofierze, on w miarę tylko używając silnego ramienia, wzrastał w majątek i zaszczyty. Teraz zmierzył pan oboźny wzrokiem wchodzącego Bohdana i ozwał się doń z uśmiechem:

— A toż mi waść przymizerniał, mój młody bohaterze! Cóż tam słyszeć? Czy nie ostygł czasem ów zapal wojenny?

Bohdan czuł, że mu na bladą twarz wystąpił silny rumieniec; teraz już nie miał w sobie tej ufności, z jaką przystępował dawniej do pana oboźnego. Rozwagał sobie wszystko, co słyszał od ojca chrzestnego i słuchał też tego, co mu własne mówiło serce.

— Miałbym chęć do wojaczki, panie oboźny, ale ponoć nie czas mi na to jeszcze, wolałbym się trochę nauczyć przedtem jak ojczyźnie służyć, a nim się głowa napełni, to może i ramię zmocnieje.

— Dobrze waść mówisz, mój młodziku, i widzę, żeś przez czas choroby nabrał rozumu. I owszem, możesz się przy mnie zaprawiać do służby królewskiej, a tam, dokąd jadę z moją komendą, ksiądz kapelan może waszeci w wolnych chwilach udzielać trochę nauk i obiektów rozmaitych... Spodziewam się, że z czasem wykeruję cię na ludzi.

— Pokorne dzięki składam panu oboźnemu za jego dobroć i łaskę dla mnie, ale...

Tu się zaciął chłopak, nie wiedząc, jak do rzeczy przystąpić, żeby pana Stempkowskiego nie obrazić, a zarazem usunąć się od człowieka, który niedawno oręż podnosił przeciwko ojcu jego rodzonemu.

— Cóż ale! Gadaj waść — zawołał niecierpliwie trochę pan oboźny.

— Oto umię cenić łaskę dla mnie, ale... wolałbym udać się do szkół jakich, byle tylko przedtem trafić do matki i o jej woli się dowiedzieć.

— A dostałeś jaką wiadomość od matki, bo ojca, sądzę, że już nie masz?

— Owszem, żyje mój ojciec; wiem, że był w Ba-

rze, ale o matce nic się dowiedzieć nie mogłem, ani o siostrze.

Tu pobladł, i duże łzy w oczach mu stanęły.

— W Barze? — mruknął pan Stempkowski. — Nazywasz się Roszkowski. Słuchaj waść, młodziku, a jak na imię twojej siostrze?

— Hańdzia — odparł chłopak, wpatrując się cheiwie w oblicze pana oboźnego, czy mu jakiej nie udzieli wiadomości.

— No, dalipan! — zawołał oboźny. — To szczególne zrządzenie Boże, czy co! Już ja widocznie od waści odczepić się nie będę mógł. — Nahum! — tu klasnął, a do izby wbiegł kozaczek, ten sam, który przyprowadził tu Bohdana.

— Skocz do pana Łabęckiego, niech nie wyjeżdża, aż się ze mną zobaczy. A ty, panie towarzyszu — dodał, zwracając się do Bohdana — gotuj się do drogi, bo ruszysz z tym panem do grodu, gdzie cię czeka pewna niespodzianka.

Bohdan, ucieszony nadzieją, choć tak mglistą jeszcze, spojrzał jednak mimowoli na wytartą odzież i obuwie podarte, nie mówiąc ani słowa, ale pan oboźny, czy myśl jego odgadnął, czy sam sobie coś przypomniał, dodał jeszcze:

— Ale prawda, powietrzem żyć nie możesz, ani też w liście figowe się odziewać. Pamiętaj, w Żytomierzu zwróć się natychmiast do dworu pani Franciszki Stempkowskiej, a tam znajdziesz, zda mi się, kogoś dobrze znajomego. Tymczasem oto masz na przeżycie i odzież, której zapewne potrzebujesz.

Krew uderzyła do głowy Bohdanowi; był co prawda w potrzebie i nieraz już nawet biedził się myślą, jak zapłaci pocziwej kobiecie, która go pielegnowała w chorobie, przytem obuwie i odzież mu się podarły; czapkę nawet skądciś mu wydostała wieśniaczka, żeby wyjść mógł między ludzi; ale tak przyjmować jałmużnę od obcego człowieka, któremu służył nie mógł i nawet nie chciał, nie miał jakoś śmiałości. Odrzekł też drżącym głosem:

— Bóg zapłać, miłościwy panie, ale czy nie mógłbym jakim sposobem na te pieniądze zarobić?

I cofnął mimowolnie rękę, a wyciągnięta przez pana oboźnego sakiewka ze złotem, padła z brzękiem na ziemię.

— Harda dusza — mruknął Stempkowski — ale kiedyś taki skrupulatny, to ci powiem, że mój pan brat, szambelan Stempkowski, spotkał się tam z ojcem waszeci Stanisławem Roszkowskim.

— Tak, to mój ojciec.

— A no! więc ojciec twój, coś tam panu bratu memu pożyczył, a ja ci tymczasem zamiast brata dług spłacam, rozumiesz waść, młodziku? Bierz spokojnie pieniądze; za godzinę, żebyś tu był z powrotem, odeślę cię bezpiecznie do Żytomierza, a potem, ruszaj sobie na cztery wiatry, kiedy nie chcesz być w mojej komendzie.

W parę godzin po tej rozmowie, nasz Bohdan, siedząc na tęgim, choć niewielkim siwku, jechał wśród gromadki udających się do Żytomierza. Od pana Łabęckiego dowiedział się, że ten był właśnie wyprawio-

nym do pana oboźnego przez Dubrowskiego, sędziego, dla porozumienia się przed rozpoczęciem sądów. Oprócz pana Łabęckiego i kilkunastu ludzi z komendy pana Stempkowskiego, towarzyszących dla bezpieczeństwa, przyłączył się do kawalkaty pan Bohowityn, nie pierwszej już młodości, który, mając także sprawy jakieś do załatwienia w grodzie, wołał podróż tę odbyć w kompanji. Z tym jakoś najprędzej rozgadał się Bohdan, zwłaszcza, gdy się dowiedział, że p. Bohowityn wraca z kresów od porucznika Mohorta, gdzie konie kupował. Szlachcic wyglądał strojno i buńczuczno; głowę mu okrywał kołpak rysy z czapłem piórem, co jedno i drugie było cenne wielce, bo i o rysie nie łatwo podówczas było *), a na jedną kitkę, trzeba dużo upolować czapli **), — wiadomo bowiem, iż każda z nich jedno ma tylko lśniące pióro w czubku. Na ręce, okrytej grubą, łosiową rękawicą, trzymał też pan Bohowityn sokoła, uwiązanego na rzemyku, z kapturkiem na głowie. Przypatrującemu się ciekawie Bohdanowi, który po raz pierwszy widział z bliska sokoła, tłómaczył Łowczyc, taki bowiem tytuł nosił, że to ptak tak cenny, iż możnaby zań śmiało dać

*) Rysia trudno wytropić, a trudniej jeszcze upolować, bo gdy na drzewo skoczy, psy trop tracą; czasem przyparty, ostro rzuca się nawet na ludzi.

**) W rodzinach szlacheckich, gdy ojciec dawał synowi sygnet herbowy, matka obdarzała go spinką z drogich kamieni z czapłem piórem. Nitki takie szły spuścizną po babkach i matkach, przechowywane w ozdobnych torebkach.

dwa wierzchowce. Opowiadał dalej, że młodego sokoła zowią Maiżem, starszego, już wypróbowanego, Ćwikiem albo Nurkiem. Najlepsze z nich sprowadzają z Krymu.

— Może nam się uda dojrzeć gdzie czaplę — mówił Łowczyc — to się przekonamy, czy mój Ćwik taki dobry, jak mi zaręczano, bo nie łatwo tego ptaka pokonać. Bohdan, ciekaw niezmiernie takiego polowania, wyteżał wzrok, czy nie dojrzy gdzie ptaka wodnego, a właśnie przejeżdżali koło stawów, ciągnących się opodal drogi. Jak na wezwanie, coś zaszeleściło w sitowiu i spłoszona tętentem kopyt czapla uleciała wysoko w powietrze, unosząc łup swój w dziobie.

— Masz szczęście, młodziku — zawołał pan Bohowityn, i szybko zdarłszy kapturek sokołowi, wypuścił go w powietrze. Wzbił się wysoko dzielny ptak i zakreślając koła, wzlatywał nad czapłą, która krzyknawszy przeraźliwie na widok niespodziewanego wroga, puściła z dzioba zdobycz i rzuciła się z wiatrem w lot, wprost przed podróżnych. Sokół z góry już spuszczał się na nią, ale ta, przewróciwszy się na wznak, ostry dziób nastawiła. Ptak coraz ciaśniejsze koła zakreślał, wreszcie jak strzała spuścił się, i z boku, wymijając grot ku pierśom jego wymierzony, porwał czaplę za szyję. Już tylko chwilę trwała walka, a sokół na świst i wołanie: Kubuś! Kubuś! wrócił i usiadł na wyciągniętej ręce myśliwego.

— Piękna czapla! — rzekł Łowczyc, podnosząc z ziemi zdobycz, a wrywając z czubka jej pióro, po dał je z uśmiechem Bohdanowi, mówiąc:

— Zachowaj to na pamiątkę starego Bohowityna, a daję ci to dlatego, że mi z twarzy dziwnie przypominasz starego druha mego, z którym się też niedawno na kresach spotkałem.

Podziękował ucieszony Bohdan i jadąc obok Łowczyca rozpytywał go o rozmaite przygody z podróży jego i lat dawniejszych. Tak niepostrzeżenie zbiegł czas do wieczora, a że nocą jechać jeszcze nie było bezpiecznie, bo się rabusie rozmaici po jarach i dołach kryli, postanowiono prosić o gościnę w klasztorze OO. Bazylianów, który się przed nimi wznosił wśród gaju z dębów, lip i jaworów. Furty wprawdzie starannie były zamknięte, ale na wezwanie pana Łabęckiego, otwarły się przed wędrowną drużyną. Ksiądz rektor, starzec siwy jak gołąbek, kazał podać w refektarzu wieczerzę, a po wybornej pieczeni baraniej, pokropionej starym miodkiem, humor dobry zapanał w zgromadzeniu. Najwięcej rozprawiał pan Bohowityn, zdawna już znajomy w klasztorze, zaś Bohdan, przysłuchiwał się z ciekawością.

— Wracacie, jak słyszę, panie Łowczycu — ozwał się ksiądz rektor — od wielce szanownego i zanego naszego porucznika Mohorta, z kresów. Zechciejcież więc nam powiedzieć, co tam słysząc, coście widzieli lub słyszeli?

— Z miłą chęcią — odrzekł pan Bohowityn — jużto pewno, że takiego drugiego człowieka, jak pan Mohort, to i ze świecą nie znajdzie. Co to za dzielność i surowa, można powiedzieć, spartańska cnota! Ale co mam mówić... przecie każdy z nas wie, jak i cała

nasza kraina, kim jest pan Mohort na kresach. Wolę opowiedzieć, jakiego wydarzenia byłem świadkiem, w czasie tej mojej tam bytności *). Wiadomo waszmościom, że się z wiosną już wybrał dla kupna koni — sławne są bowiem stadniny tamtejsze — gdy tymczasem wybuchły te oto nieszczęsne rozruchy, które mię dłużej zatrzymały, niżem się spodziewał. Swoją drogą, z przeproszeniem waćpana, panie Łabęcki, ów wasz sławiony pan Stempkowski, nie ze wszystkim mi się podoba. Gdzie jemu do pana Mohorta! Ale ręczę, że nim nasz kochany zaawansuje, to się tamten, trzymając klamki pańskiej, do senatorskiego krzesła dostać gotów, po łbach rozszałałych, których też, Bogiem a prawdą, nie szczędzi. Ale wracam do mojego opowiadania. Gdy nas doszła wiadomość o tutejszych rozruchach, pan Mohort srodcze się zafrasował. Przetrwalem — mówił — głód, dzumę, walki z pohańcami, ale iść na braci obłąkanych, z szablą święconą, na noże, to już chyba dopust Boży! Tymczasem chorągwi swej kazał stać, nie ruszając się ze stannicy, porządnie warownej. Wtem znać dają, od księdza rektora Ihumena z pobliskiego monasteru, że czerń na klasztor idzie i już w pobliskim lesie obóz rozbija.

— Idźmy na obronę — rzecze pan Mohort. — Jakoż tej nocy jeszcze stanęliśmy u klasztornej bramy, z wielką radością witani. O brzasku znów przybył pan Łukowski z garstką szlachty, na prędce zebranej. Pan

*) Według Winc. Pola.

Mohort wszystko sprawił pięknie, a że klasztor był zasobny i w żywność zaopatrzony, więc już od rana stały na murach armatki, moździerze, a na wieży trąbiono pieśń Bogarodzicy. Skoro się dzień zrobił, drogą, jadą jacyś ludzie i zbliżywszy się pod mury, żądają soli i chleba. Czterech ich było, więc pan Mohort, oczy im zawiązać kazawszy, do klasztoru wpuścił. Tu dopiero prawią, że ksiądz rektor, ma im wszystkie srebra i miody odstawić do obozu; wydać gości, jakich tylko ma w klasztorze w ręce czerni, bo inaczej kamień na kamieniu nie zostanie. Na takie „dictum“ tych rozbójników, pan Mohort udał się do księdza rektora, ofiarując, że się z komendą swoją oddali, jeżeli to ma klasztorowi ulgę przynieść.

— Niech Bóg broni! — odrzeczł zacny ksiądz rektor — siebie i klasztor cały oddaję pod władzę waszą, poruczniku: róbcie, jak wam się zdaje. Więc, niewiele myśląc, pan Mohort trzech zbójcekich parlamentarzy natychmiast obwiesić kazał, za świętokradztwo i rabunek świątyń, czwartego zaś odesłał do czerni z odpowiedzią, że każdemu z nich sztuka na sztukę, taki sam los się należy. Tożto dopiero zawyli, jak milion wilków wściekłych i nuż się walić na mury klasztorne. Pędzili na oślep, a my do nich z armat — że kupami padali, ale inni darli się po trupach dalej. Trzy razy tak ich odparliśmy, aż wreszcie zawinęli się i zniknęli, jak gromada szatanów. Mówią, że pono wrócić mieli z większymi siłami; my tymczasem trupy pogrzebawszy, czekamy. I przeszło dni kilka, aż raz jednego zbliża się wojsko jakieś; widzimy tatarskie

buńczuki. Oddział stanął na błoniach opodal i śle posła z przyjaznemi słowy od Murzy, dla pana Mohorta. Ni mniej, ni więcej, tylko pohaniec ów ofiaruje się porucznikowi z oddziałem swoim przyjść ku odsiecz, przeciwko czerni hajdamackiej. Skąd mu to przyszło, nie wiem, choć to prawda, że pana Mohorta i pohańcy szanują, ale pan porucznik na tę sprawę inaczej się zapatrywał.

— Grzech to — mówił — ściągać pohańców na własną niwę, grzech wiązać się z nieprzyjacielem, choćby na poskromienie buntu. Zgodził się z tem rektor Ihumen, więc pan Mohort podziękowawszy Murzy za przymierze, nie żądał na teraz pomocy, zaś w dowód życzliwości, słał piękne podarki: kubek misternie rzeźbiony złota pełny, konia z rzędem i szablę kamieniami drogiemi sadzoną. Murza nietylko że się nie rozgniewał, ale ku bramie podjechawszy, złożył nawzajem sztukę drogiej lamy i pieniądz złoty, niby w zapłatę za szablę, bo trzeba wiedzieć, że bisurmanin od przyjaciela nie przyjmie żadnego ostrza w upominku. Ksiądz rektor dodał jeszcze sto baranów Tatarom, i tak się wszystko zgodnie zakończyło. Trzeba jednak wiedzieć, że hajdamactwo, przez szpiegów wiadać uwiadomione o przybyciu Murzy, wyrozumiało sobie, że już przeciw nim sojusz zawarty. Jak tedy pierzchnęli z tych stron, tak już ani słychu o nich nie mieliśmy. Murza zaś, jakby naumyślnie, stanął na kresach z Tatary swymi. Pan Mohort spokojnie wrócił do swej stannicy, uważając cały ten wypadek za prawdziwe zrzęczenie Boże, ja zaś z druhami moimi, panem

Onufrym Świdorskim, którego też pono znacie, ojczu, bo to człek zacny i pobożny, zabraliśmy się wnet do powrotu.

— Dziękujemy waćpanu, panie Łowczycu, za piękne opowiadanie, ale czybyście też nie mogli nas objaśnić, gdzie się obecnie znajduje pan Onufry, bo tak nagle ze stron tych zniknął, żeśmy o niego wielce niespokojni, w tych czasach zwłaszcza, gdy nikt niepewien życia, ani mienia, więc swoich i cudzych wystrzegać się musi. Wiemy tylko, że mężnie odparł we dwóch tylko, ze starym Maciejem, napad hajdamacki na futor swój, ale potem zniknął, jak kamień w wodę.

— Z miłą chęcią zaspokoić was mogę, ojczu, bo właśnie w Żytomierzu, spotkać się mam z naszym panem Onufrym, gdyż mamy rozmaite ważne sprawy do załatwienia. Wielkiej to zacności człowiek, ale co jest rzecz zabawna, to, że ten oto młodzieniaszek, dziwnie mi jakoś starego naszego druha przypomina, z rysów i nawet z wzięcia się i mowy.

— Prawdę mówicie, panie Łowczycu, teraz i ja to spostrzegam — odrzekł ks. rektor, mierząc spojrzeniem Bohdana — a jednak nie słyszałem, aby pan Onufry miał krewnych w tych stronach.

— Toteż i pacholę to powiada, że wcale nie zna starego sępa, a mnie jednak tem podobieństwem, dziwnie jakoś od razu za serce chwycił — mówił pan Bohowityn.

Nazajutrz skoro świt, Mszy Św. wysłuchawszy w Bazylijańskim klasztorze, kawalkata nasza ruszyła w drogę, która się bez żadnych przygód nadzwyczaj-

nych w kilka dni skończyła. Bohdan był zadumany i pomieszany wielce, dojeżdżając do grodu, w którym wiedział, że go niespodzianka jakaś czekała, chociaż pan obożny nie chciał powiedzieć, co go tam spotkać miało. Cieszył się, a jednak zarazem dziwna jakaś tęsknota ścisłała mu serce. Gdy przybyli, dobrze jeszcze przed wieczorem, pożegnał pana Łabęckiego, pod którego niejako opieką podróż ową odbywał i zabierał się właśnie do pożegnania z panem Bohowitynem, gdy go ten zagadnął:

— A gdzież to, mój chłopcze, masz szukać tej niespodzianki obiecannej?

— W dworku nad Teterowem, który zajmuje obecnie pani obożna Stempkowska.

— A no, to tam właśnie i ja mam dostać wiadomość o panu Onufrym; dziwne zrządzenie, co prawda, ale tymczasem ruszajmy razem.

Bohdan zadowolony, że będzie miał przecież przy sobie człowieka, którego przez drogę pokochał i szanować się nauczył, ruszył żwawo do wskazanej kwatery. P. Bohowityn, który znał już dawniej dworek ów, był mu przewodnikiem. Niebawem zatrzymali się przed bramą, wiodącą na podwórze. Stary jakiś sługa, z sumiastym wąsem i podgoloną czupryną, powitał ich słowami: „niech będzie pochwalony!“ A dowiedziawszy się, że starszy ma sprawę do pana Onufrego, młodszy zaś pismo do samej pani obożnej koronnej, wskazał im furteczkę, prosto z podwórza do ogrodu prowadzącą, gdzie, jak mówił, cała kompanja obecnie siedziała. Ogród ten rozciągał się na pochyłości wzgó-

rza, aż do brzegów Teterowa, którego srebrzyste wody łamały się o skały nadbrzeżne. Bliżej domu wity się, różnobarwnem kwieciami zasadzone, wirydarze i ścieżki piaskiem wysypane, a dalej na trawniku, zostawiono kilka drzew starych, ocieniających kamienne i darniowe ławeczki.

Bohdan rzucił okiem i w tej chwili okrzyk stłumiony wyrwał mu się z piersi; pod lipą cienistą siedział białołosy starzec, a obok niego dziewczeczka w żałobnej sukience z oczami utkwionymi w twarz starca, który zdawał się jej coś objaśniać, coś opowiadać.

— Hańdzia! — zawołał Bohdan i dech mu zaparło w piersi, na widok żałobnej sukienki. Dziewczynka w tej chwili spojrziała i poznawszy brata, rzuciła się z okrzykiem ku niemu, a spłoszony tym hałasem gołąbek biały uleciał w górę ponad nich. Co tam było pytań, odpowiedzi, łez i okrzyków, zdziwienia — opowiedzieć trudno. Bohdan, oddawna przeczuwający coś złego, bolał teraz sercem całym nad śmiercią matki. Motruna, która przybiegła witać ukochanego panicyka, musiała mu ze szczegółami wszystko opowiadać, a dziadek nacieszyć się nie mógł, patrząc na wnuka, którego mu zsyłało Niebo. Bohowityn przyglądał się temu wszystkiemu, twierdząc, że on niedarmo odkrył w chłopięciu odrazu rysy dziadka i wróżył, że teraz stara szablica znajdzie godnego dziedzica. Wszyscy się popłakali, nie wyłączając pani oboźnej, która Bohdana we dworze swym zatrzymała. Po długich naradach, zgodzili się na to, że chłopiec pojedzie

do Warszawy, do szkół XX. Pijarów, żeby tam wyrósł na porządnego człowieka. Z Hańdzią pani Stempkowska rozstać się nie chciała, przywiązawszy się wielce do sierotki i obiecała, że ją u siebie na wychowanie zatrzyma, poprosiwszy i Motrunę, żeby nie opuszczała swej panienki. Pan Onufry uspokojony tymczasem o los wnuków, wybrał się w dalekie strony, żeby odszukać nieznanego jeszcze zięcia i z nim razem walczyć, dopóki mu sił starczy.

— Jeśli Bóg pozwoli, to powrócimy! — mówił do wnuka.

CZEŚĆ DRUGA.
PAN STEMPKOWSKI.

I.

Sądy. — Pałac w Łabuniu.

Pod jesień, roku 1768, rozpoczęły się sądy na zbrodniarzy. Dubrawski sędzia, winnych odsyłał do miasteczka Kodni, o trzy mile od Żytomierza, gdzie stała komenda oboźnego Stempkowskiego. Oprócz tego, pan oboźny, korzystając z przyznanego mu prawa miecza, nie przepuszczał żadnemu z tych, którzy mu w ręce wpadli. W pierwszej połowie września, miano ściąć 114 a powiesić 200 winowajców w Kodni, i od tego to czasu, między ludem powstało przysłowie: „Bodaj cię Kodnia nie minęła“. Imię pana Stempkowskiego, także krwawej nabrało sławy; wymykał się on często ze smutnego, zapadłego wśród błot i trzęsawisk miasteczka i z pomocą swych podkomendnych, wyławał przestępców do swoich szubienic, aż do króla

wieść doszła o srogości jego. Król się rozgniewał z początku, ale wkrótce, na prośbę Branickiego, ozdobił Stempkowskiego orderem i tytułem generała.

Tymczasem lud, wystraszony z jednej strony, a podburzany z drugiej, znów się począł skupiać w gromady. Żurba z 700 ludźmi okopał się grubym wałem pod *Olszowem*, Paczenko w zamczku Letniowieckim, a inni poszli za ich śladem. Pan Stempkowski z początku próbował wziąć ich głodem, ale potem, udał się o pomoc do wojsk, znajdujących się w owych okolicach. Wspólnymi siłami rozbito Szostaka pod *Rotmistrzewką*, wkrótce poległ i Żurba, ale najwięcej kłopotu sprawił Paczenko w swojej forteczce, wreszcie i tę zdobyto a załogę w pień wycięto. Pochwalił się zwycięstwem Stempkowski przed królem, i odtąd posypały się nań zaszczyty i nagrody rozmaite. Mianowany regimentarzem w roku 1769, siedział odtąd bezczynnie na kresach, nie walcząc z konfederacją Barską ani z nikim. W r. 1772 mianowany kasztelanem, miał odtąd prawo zasiadać w senacie. Wkrótce potem nabył Łabuń, majątność, w której wznosił pyszny pałac, za pieniądze hojnie mu użyczane, za wielkie jakoby zasługi w morowej zarazie, od której, prawdę powiedziawszy, daleko się trzymał.

Do opisanie tej nowej rezydencji pana Stempkowskiego, posłużyć nam może list Hańdzi, wysłany do Warszawy, do brata, który tam się jeszcze w naukach ćwiczył.

Łabuń 177...

Serdeczny mój braciszku! Korzystam z łaski za-nego pana Łowczyca, który mi obiecuje list ten tobie do rąk własnych oddać, i zatemperowawszy aż trzy pióra odrazu, zabieram się opisać ci szczegółowo, tak, jak chciałeś, co się obecnie u nas dzieje. Zdziwisz się zapewne, że pismo moje datowane z Łabunia. Otóż tu właśnie, przed tygodniem, przybyłam z panią kasztelanową, z dziećmi i dworem całym pani naszej. Wiesz może, iż pan kasztelan sprzedał dobra swoje w Halickim, a tu, w Łabuniu, nabytym po księżętach Muborzewskich, wspaniałą rezydencję wystawił. Ty mi opisywałeś różne dziwy warszawskie, ja więc muszę odpłacić się, malując, ma się rozumieć słowami, pałac Łabuński, który mnie się wydaje, jak owe zaklęte pałace królewien, o których nam dawniej Moiruna opowiadała. Pocziwa niańka nasza prosi, by cię od niej serdecznie ucałować; pewno myśli, żeś taki małeńki jak dawniej, kiedyśmy się w pieczarze ukrywali! Otóż pałac nasz wznosi się nad rzeką Poganką; front jest na kilkunastu kolumnach wsparty, szkoda tylko, że zeń widok na brudne miasteczko wypada. Z kolumnady wchodzi się do westybulu, a stamtąd do sali o siedmiu oknach; drzwi z niej prowadzą na taras, wychodzący na sztuczne jezioro z szumiącymi kaskadami; wzdłuż brzegów jego mieszczą się klomby kwiatowe, gazony, altanki cieniste, gaiki wonne, że nawet w upał największy, ochłodę tu znaleźć można. Pałac po bokach ma wspaniałe też pawilony, a w całym

gmachu naliczyłam więcej, niż sto komnat. Najpiękniejsza sala balowa: naprzeciw okien ma siedem ogromnych zwierciadeł, a na wieczór i okna zwierciadłami zasłaniają tak, że się aż gorzeć zdaje od światła. Świec zapalają w niej 800 na wielką paradę, a taką właśnie urządzono na przybycie pani kasztelanowej. Biedna pani nasza, taka wątła i słaba, ugięła się od strojów i drogich kamieni, a dobra jak zawsze, chciała i mnie przyozdobić. Ale nie bój się, Bohdanie, zawsze pamiętam o tem, co mówi dziadunio kochany i o czem najukochańszy ojciec pisze i co ty mi zalecasz, stateczny brateńku, i o tem, co wkoło siebie widzę i słyszę. Miałam też na sobie białą sukienkę, białą różyczkę we włosach i tylko sznurek pereł na szyi. Ale co tam ciebie obchodzą stroje, mój panie bracie! Ty dbasz tylko pewnie o swój kadecki mundur, w którym, jak mówił dziadunio, tak pięknie wyglądasz, a tem piękniej, że w naukach celujesz. Wracając do pałacu — jest w tej sali u góry pyszna galerja dla kapeli, którą pan kasztelan utrzymuje. Mnóstwo osób tu przyjeżdża, a niekiedy prawie mieszkają, jedzą, piją i bawią się. Ale przyznam ci się w sekrecie, że mnie to wcale nie cieszy, bo wiem, że gdzieindziej się ludzie smucą, i nasz ojciec najukochańszy, zdaleka tęskni za nami. Z tych, którzy częściej nawiedzają Łabuń, pamiętam pana chorążego Giżyckiego z Krasnopola, pana Woronicza z Trojanowa, pana Ilińskiego, starostę z Romanowa, pana Ponińskiego z Cudnowa, pp. Bukarów z Jampola, pp. Bierzyńskich i innych, ale pocóż ci cały ten regestr wypisywać! Służby co niemiara; aż się roi

od pajuków, hajduków, masztalerzy, kozaków, woźniców, lokajów, kucharzy. Pan kasztelan, gdy wyjeżdża w podróż, choćby na dni kilka, zabiera z sobą bryki pakowne z kuchnią i piwnicą. W landarze obok pana siedzi dyżurny dworzanin, na koźle dwóch chłopców, do nakładania fajki, a za karetą stoi dwóch olbrzymich drabów, uzbrojonych od stóp do głowy. A że pan kasztelan jest także generał-lejtnantem i regimentarzem, więc obok pałacu znajduje się odwach i wartę zaciągają przed pałacem. Oficerowie kręcą się około pana Stempkowskiego, a muszę ci opowiedzieć, jakem się kiedyś uśmieła, ma się rozumieć po cichu. Dwa dni temu, pan kasztelan, który, tak jak król, wszystkim tu rozkazuje i posługiwać sobie każe, zawołał, chcąc fajkę zapalić:

— Ognia, adjutancie!

Otóż pan oficer, któremu się nie podobało pełnić służby hajduka przy panu, udał, że nie rozumie, o co rzecz idzie i wybiegłszy na dziedziniec, zakomenderował, zwracając się do żołnierzy:

— Ognia!

Huknęły strzały, aż wybiegł pan kasztelan, zobaczyć, co się stało. Dopiero rzecz się wyjaśniła, i pan wrócił zły, usta przygryzając, ale nic nie powiedział. Przepych tu we wszystkim, i Motruna mówi, że złoto płynie, jakby rzeką, ale mnie się lepiej podobało w naszym cichym dworku. I biednej pani naszej tu jakoś nie swojsko, ciągle teraz cierpiąca, opuścić jej nie mogę, dlatego dziadunio mnie nie zabrał do Warszawy; ale jak tylko się pani kasztelanowej polepszy, radabym

lotem ptaka, jak niegdyś mój biały gołąbek, pochowany w ogródku nad Teterowem... polecieć do ciebie, braciszku mój złoty, a tymczasem ściskam cię i całuję po tysiąc razy.

Twoja Hańdzia.

II.

Bohaterowie kielicha. — Odwiedziny królewskie.

To, co w liście siostrzyczki do brata znajdujemy, nie może nam dać jeszcze wyobrażenia o życiu, jakie w rozkosznym Łabuniu prowadzono. Umiął się pan kasztelan zasługiwać królowi; chociaż bez wykształcenia głębszego, miał jednak sprytu dosyć i umiał zjednywać, i sobie i monarsze stronników. Sam też opływał w zaszczyty i dochody, jak pączek w maśle. Zbiegał w pałacu swym tłumy szlachty, którą do hulanki i pijatyki zachęcał; i gdy tu wino lało się strugą, gdzie indziej inni bohaterowie hojniej jeszcze krew własną przelewali. Do tych żaden z gości pana wojewody nie należał. Rozbawił on tak wszystkich w całym województwie, że myślano tylko o ucztach i hulance. Mówią, że naśladował Tulczyn Potockiego, tylko, że Szczęsny *) zajmował się przynajmniej majątkami

*) Szczęsny Potocki, syn Franciszka Salezego, w Tulczynie miał dwór, jakgdyby królewski; nadwornych poetów, historyków, pochlebców; mimo tego był dręczony ciągłym smutkiem,

swoimi, ulepszał gospodarstwo, poprawił byt włościan, drogi przerzynał i t. p., a Stempkowski o niczem podobnem ani pomyślał. Jadł, pił w końcu tak się przesycał, że dla obudzenia apetytu, musiał wybierać się w podróż: po ujechaniu mil kilku, zatrzymywano się w jakiej gospodzie, kuchmistrze przyrządzali śniadanie lub obiadek, który miał lepiej tu smakować wojewodzie, a potem znów się wracało do domu.

Karmiąc i pojąc gości swoich, wymagał od nich, żeby według woli jego wybierali posłów, i tem właśnie królowi się przysługiwał. Nawzajem król rozdawał urzędy i orderzy tym, za którymi się wstawiał Stempkowski. Król Stanisław August po dwakroć gościł w Łabuniu: raz 1781 roku, kiedy tam obchodził rocznicę koronacji swej, i wtedy dość się to spokojnie odbyło. Zato, gdy drugi raz, w r. 1787, w czasie podróży do Kaniowa, dla widzenia się z Imperatorową, król zjechał do Łabunia dnia 16 marca, przyjmowano go tak wspaniale, że prócz księdza Naruszewicza, opisywali tę uroczystość Plater, Ochocki i Bukar. Ojciec tego ostatniego zastępował gospodarza domu, bo sam wojewoda musiał siedzieć w Warszawie, jako członek Rady. Cóż się to działo wtedy! Meble szły ze stolicy; dokupiono 65 tuzinów porcelany, serwis srebrny, win kosztowniejszych 15.000 butelek i t. p. Z tych bez mała tysiąc wypił sam Iliński, który przez kilka tygodni czekał na króla w Łabuniu; czekali i inni, je-

dząc i pijąc po swojemu. Wreszcie nadjechał i monarcha, którego dwunastu wyższych urzędników witało w Łabuniu. Przy stole zasiadło sto dam błyszczących od złota, djamentów i pereł. Wieczorem pałac zajaśniał iluminacją: wewnątrz zapalono 1.400 świec jarzących; przechadzano się wśród tonów muzyki, odbijającej się od sklepienia pomiędzy drzewami pomarańczowemi, i cytrynowemi; w ustronnych komnatkach, altankach, bluszczem oplecionych, lampy alabastrowe rozlewały łagodne światło. W jednym kącie sali balowej, figurowała kula ziemiska, a na niej wyobrażenie okolic Łabunia, nad którym świeciło słońce. Aluzja do przybycia króla. Cały świat w mroku, tylko Łabuń jaśniał, bo w nim Stanisław August stopę postawił! Wśród tego strzelano na wiwat. Cóż kiedy nagle armaty się zbuntowały, i ani sposobu do dalszych salw zmusić się nie dały. Daremnie biegał sam generał Komarzewski, dyrektor wojkowego departamentu, próbowano rozmaitych sposobów — armaty wypowiedziały stanowczo posłuszeństwo. Musiano się kontentować muzyką i komplementami, na które się sadzono dla króla, a ten odpowiadał w równie wyszukany sposób. W sali balowej przechadzały się zastępy pań i panów, jak mówi piosneczka pod owe czasy ułożona:

„Jedni po polsku, drudzy z niemiecka,
Każdemu z boku świeci gwiazdeczka...”

po stracie pierwszej żony, Gertrudy Komorowskiej, opisaney w poemacie Malczewskiego, pod tytułem: „Marja”

III.

Przykre skutki. — Smutny koniec.

Z obliczeń, po balu dokonanych, okazało się, że samo dwudniowe przyjęcie króla kosztowało 18.000 dukatów, czyli 324.000 złotych ówczesnych. Poprzedniego roku, poszło kilkadziesiąt tysięcy dukatów na wjazd pana Stempkowskiego, o którym aż ksiądz Łuski pisał w swojej gazecie w Warszawie; okazało się też wkrótce, że dochody, jakkolwiek znaczne, nie wystarczają na pokrycie olbrzymich wydatków.

Pan wojewoda więc kazał sobie płacić za wyrabianie szlacheć urzędów, zato, że ją dawniej od napaśników bronił i rozmaitymi sposobami dostawał pieniędzy, ale wszystko to nie wystarczało. Wierzyteli było mnóstwo, i ci, nie mogąc się doczekać wypłaty swoich należytości, rozpoczynali procesy. Wprawdzie Stempkowski starał się takowe wygrywać niesprawiedliwymi sposobami, popierając sprawy swe po grodach i trubynałach z pomocą króla; wkońcu jednak przebrała się miarka i krucho było z panem wojewodą. Tymczasem w 1788 roku, gdy sejm cztero-

letni rozpoczynał się, zaczęły się znów szerzyć jakieś rozruchy, ale tym razem pan wojewoda nikogo nie wieszał, gdyż w okolicy Łabunia, zachowywano się spokojnie. Przez całe jednak cztery miesiące, ze dwieście osób gościło u pana wojewody, wysuszając jego piwnicę. W następnym już roku, pan Stempkowski musiał przed długami uciekać do Warszawy, zostawiając pałac nad Poganką na pastwę wierzycieli. Ale i w stolicy nie potrafił ograniczyć swych wydatków. Zaprzęgi wspaniałe, liberja, mieszkanie w pałacu Krasieńskich pysznie urządzone, wytworne obiady i kolacyjki, ściągały grono przyjaciół do pana wojewody. Chwalono uprzejmość i wyborną kuchnię, ale... wkrótce i tu się zjawiała zgraja wierzycieli, począwszy od tapicerów, winiarzy, bławatników i t. p. Mógł się wprawdzie pan Stempkowski tem pocieszać, że podobna procesja nawiedzała często i króla jegomości i wielu innych dostojników. Nie mogąc sobie dać rady, zaczął pan Stempkowski sprzedawać co miał; najprzód tedy krzesło w senacie, panu Piotrowi Potockiemu, potem klejnoty, orderzy brylantowe, guzy perłowe, tabakierki i t. p. Przyszła wreszcie i choroba, lekarze kazali się szanować, w łóżku często przebywać, ale pan wojewoda wołał w ucztach i winie topić swój frasunek. A miał też czem się trapić, co sobie wyrzucać: zmarnowane życie bez sławy, bez pożytku dla innych, żadnej chluby z czynu pięknego żadnej pamiątki po sobie, bo nawet i ta wojna z hajdamakami wielkiej mu sławy nie przyniosła. W początkach roku 1793, przyszedł nagły atak i pan Stempkowski życie zakończył —

samotny, bo wojewodzina nie żyła już oddawna, a dzieci nie miał przy sobie *).

Łabuń po zgonie wojewody, przeszedł w ręce wierzycieli, a po sześciu latach, piękny pałac rozsypał się ze szczętem. Nie było czego żałować, gdy padało tyle innych gmachów, droższych i piękniejszych.

Zato synowie i wnukowie Stempkowskiego zachośnią i krwią własną okupili samolubstwo wojewody. W czwartym pokoleniu wygasł ród ten po mieczu.

*) Szczegóły o tem w „Opow. hist.” dra Antoniego J.

IV.

Jeszcze Hańdzia i Bohdan.

A cóż się z Hańdzią i Bohdanem działo? Zapytacie zapewne, kochani czytelnicy. O! ci już byli daleko wtedy. Zaraz po śmierci pani kasztelanowej, dziadunio zabrał wnuczkę, która do ostatniej chwili troskliwie pielęgnowała swą opiekunkę, i odwiózł ją do Warszawy. Hoża dziewczeczka o długich, kruczych warkoczach, rzuciła się na szyję bratu, który przypatrując się jej z uśmiechem na ustach, a łzą w oku, pokręcał ładnego wąsika. Motruna, o której także nie zapomniano, aż ręce składała z podziwu, nad „cudnym” paniczem swoim. Jakże im brakło wtedy ojca ukochanego, który nie mógł powrócić dotąd. Czekano listu od niego i nadeszło owo pismo upragnione, ale ojciec, błogosławiąc dzieci, donosił, że przybyć nie może, że przeciwnie, wybiera się daleko — za morze, do Ameryki, gdzie się toczyła walka krwawa przeciw Anglii. Zasepiły się twarze dziadunia i wnuków; po chwili Bohdan wstał z krzesła swego i klękając przed dziadkiem, rzekł:

— Błogosław mi, dziaduniu, i pozwól iść za oj-

cem. Tu mnie nie potrzebują teraz, a tam od niego się nauczę, jak szablą władać.

— Idź, pocziwy mój chłopcze, błogosławie ci sercem całem! — odrzekł starzec i łza upadła mu z oczu na jasną głowę młodzieńca. Hańdzia zapłakana, ale poważna i milcząca, pomagała bratu wybierać się w drogę. Motruna, kręcąc głową, szeptała coś do Macieja, który jej tłumaczył, że inaczej być nie może, ale sam jakoś ciągle miał do czynienia z tabakierką, przyczem ocierał oczy rękawem.

A było to w r. 1777, kiedy Francja posiłki słała wybijającym się na wolność Amerykanom; między wielu innymi, odpłynęli nasi dwaj podróżni: siwiejący już ojciec z synem hożym, czerstwym, pełnym nadziei. Dziadek tymczasem z wnuczką zamieszkał w małym dworku na Solcu w Warszawie; do rodzinnej wsi nie było już poco wracać. Korałówkę zabrano, futor spały wojska tamtędy ustawicznie maszerujące; zresztą tu było łatwiej o wiadomości, co czasem, jak gołębie wędrownie z za morza się dostawały. Hańdzia pielęgnowała dziadunia, kwiatki sadziła w ogródku i haf-tując w krosienkach, śpiewała smętne dumki ukraińskie, których staruszek z rozrzewnieniem słuchał; Motruna też i Maciej przysuwali się wtedy do drzwi, aby się nacieszyć słowikiem swoim.

I tak cicho płynął rok za rokiem w małym dworku, a burze, wstrząsające światem szerszym, obijały się o białe jego ściany, jak fale morza o mały kamyczek na wybrzeżu.

* * *

Jeszcze raz rzucimy okiem na znajomych naszych; znowu step szeroki nas otacza, a wśród jacy zielonego ze świętym Onufrym, bieje futor. Powietrze ciepłe, pełne wiosennych oparów, złoci się od wschodzącego słońca, a skowronek z wilgotnej roli wzbija się wysoko ku niebu błękitnemu z poranną pieśnią. Na miedzy wetknięta szabla, śnać, że sam wo-jak rolę swoją orze *). Dwa siwe woły, o rogach ogromnych, ciągną pług, a za nimi postępuje siwy już, ale czerstwy mąż, o twarzy ogorzałej, kresami poornej. Śnać nie w jednej bywał potrzebie, a stąpa żwawo, choć jedną ma nogę drewnianą, a patrzy jasno przed siebie — znać, że ma czyste sumienie i pogodę w duszy. A z białego, świeżo żółciuchną słomą pokrytego dworku, przed którym się żoraw kołysze u studni, wybiega w tej chwili dziewczeczka o ciemnych warkoczach, w granatowej bekieszce, czerwonym pasem obciśniętej; w rękę ma dzbanek mleka świeżego i bieży prosto do rolnika, wołając:

— I znów mi się tatuś wymknął bez śniadania, raniutko. Ej! poskarżę się Bohdanowi, że sobie rady już dać nie mogę!

Ojciec wstrzymał woły u granicy łąny i całując w głowę ukochaną dziewczeczkę, ozwał się do niej:

*) Szlachcic u nas nie wstydził się tego, gdy sam ziemię orał, ale wtedy zatykał szablę na pierwszej odwalonej skibie, aby każdy wiedział, że ten orze, co tej ziemi broni. Był to zwyczaj stary, który się długo przechowywał.

— Zapominasz, Hańdziu moja, wielem ja lat tęsknił do tej ziemi naszej. Widzisz, córko, że mi tu zdrowie i siły powróciły, nawet już rany nie bołą, zda się, od kiedym rodzinnem odetchnął powietrzem.

— Czemuż to dziadunia drogiego już niema z nami? — szepnęło dziewczę smutnie — nawet grób jego został gdzieś daleko nad Wisłą, ale mnie się zdaje, że on tam z wysoka widzi nas i błogosławi swoim ukochanym na futorze. Wszystko tu żyje po dawnemu, nawet pszczołki brzęczą w pasiece, tylko domek szerszy i większy, niż był dawniejszy.

W tej chwili z dworku wyszedł młody mężczyzna z długimi jasnymi włosami i ręką lewą na temblaku zawieszoną.

— Idź do brata, Hańdziu — rzekł ojciec — jemu się tu przykrzy w tej ciszy wiejskiej, i nie dziw, bo młodemu skrzydła prędko odrastają, z chęcią leciałby w świat szeroki...

— Nie mówmy teraz o tem, ojczulku; przecież wam obu spocząć warto na rodzinnym zagonie, i nawet Motruna powiada, że nie puści Bohdana, dopóki jej oczu nie zamknie, co się tyle za nim napłakały.

I ucałowawszy rękę ojca, pobiegła ku dworkowi, a stary popędził wołki swoje, orząc dalej zagon ojczysty.

K O N I E C.

65320
74671/5